Nr. 27. Lwów, Niedziela dnia 4. Lipca 1875 r. **Rok II.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM II.

PRENUMERATA we LWOWIE:
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie **12** złr. półrocznie **6** złr. kwartalnie **3** złr.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie **14** złr. półrocznie **7** złr. kwartalnie **3** złr. **50** cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni **D. E. Friedleina.**

Redaktor **A. J. O. ROGOSZ.**
Wydawcy: **A. J. O. ROGOSZ i F. H. RICHTER.**
Główny skład w księgarni F. H. RICHTERA we Lwowie.
Biuro redakcji przy ulicy Halickiej l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie **8** tal. półrocznie **4** tal. kwartalnie **2** tal.
NA PROWINCJI:
Rocznie **9** tal. **10** sgr. półrocznie **4** tal. **20** srg. kwartalnie **2** tal. **10** sg

LUŹNE UWAGI.

XXVII.

Stowarzyszenie spożywcze.

Już w samem założeniu pisma naszego postanowiliśmy poświęcać je nie tylko literackim i naukowym ale i społecznym sprawom, do których najlepiej nadają się „Luźne uwagi.“ Poruszamy też dzisiaj sprawę społeczną, która powinnaby szczególniej zająć szanowne nasze czytelniczki, jako gospodynie domu. Mówimy o zawiązującem się we Lwowie Towarzystwie spożywczem.

Użalamy się ustawicznie na panującą u nas, a coraz wzmagającą się drożyznę, użalamy się na to, że gdy ceny raz pójdą w górę, to się już na tej wysokości stale utrzymują, że pomimo spadku cen zboża lub rzeźnego bydła, ceny pieczywa i mięsa albo wcale nie, albo bardzo tylko niestosunkowo spadają. Drożyznę tę czują gospodarze w miesięcznym i rocznym wydatku, gospodynie w swych codziennych rachunkach. A narzekając bez końca zaniedbaliśmy — jak zresztą zwykle się u nas dzieje — chwycić się środków zaradczych, które częścią leżą w zakresie władz, częścią zaś mogą być przez nas samych użyte. Do tej drugiej kategorji należą towarzystwa spożywcze.

Gospodynie nasze musiały nieraz uczynić to spostrzeżenie, że gdy mogą zrobić sobie znaczniejszy zapas, o wiele tańszą uzyskają cenę — dalej, że na niejednym artykule możnaby zaoszczędzić sprowadzając go wprost z pierwszej ręki, wreszcie że n. p. chleb w domu wypieczony taniej kosztuje niż kupiony. Na czem to polega? Oto najprzód na tem, że kupiec gdy sprzedaje zapas większy, przez to większą od razu dostanie gotówkę, która wchodząc zaraz w obrót tak znaczne mu przysparza korzyści, że może skutkiem tego niższą cenę naznaczyć. Dalej przez sprowadzanie towaru z pierwszej ręki obniża się cenę jego o zyski pobierane przez pośredników. Nie każdy jednak może sam przysporzyć sobie te korzyści. Większe zapasy ten tylko może robić, kto rozporządza większą gotówką — z pierwszej ręki zaś brać można tylko przy bardzo znacznych zamówieniach.

Ale co jest niemożliwem dla jednostki, staje się łatwem do osiągnięcia dla zbioru jednostek, t. j. dla stowarzyszenia. Jeżeli zbierze się kilkaset rodzin i powiedzą sobie: sprowadzamy artykuły domowego użytku w większej ilości i ile można wprost z pierwszej ręki z wyłączeniem pośredników — wtedy stowarzyszenie jako takie osiągnie wyżej wymienione korzyści, i przysparza je każdemu członkowi po odtrąceniu kosztów administracji.

Ażeby stowarzyszenie utrzymać się mogło, potrzeba mu prócz dobrego zarządu dwóch jeszcze warunków: 1) kapitału pewnego — 2) zapewnionego odbytu przez to, żeby członkowie tylko przez towarzystwo zaspakajali swoje potrzeby. Kapitał zbiera się przez udziały pozostające własnością każdego członka, oprocentowane, a składane nie od razu ale miesięcznemi wkładkami. To rzecz mężów i ojców rodziny. Zapewnienie odbytu, to rzecz pań, naszych drogich gospodyń. Jeżeli one nie zechcą zrozumieć korzyści, jakie w gospodarstwie domowem przysparza należenie do takiego towarzystwa, jeżeli upornie trzymać się będą tych sklepów do których przywykły (a rozumiemy dobrze co to jest moc przyzwyczajenia) w takim razie towarzystwo utrzymać się nie zdoła, bo wielki odbyt jest główną podstawą bytu jego. Do gospodyń przeto głównie się odnosimy, zachęcając je aby po otwarciu składu Towarzystwa tam tylko robiły zakupna, naturalnie jeżeli mąż do towarzystwa się zapisał.

Zysk osiągnięty przez towarzystwo może być członkom w podwójny sposób przysporzony: albo przez oznaczenie ceny tak niskiej, iż do ceny zakupna dobija się tylko koszta administracji, albo przez rozdział zysku pomiędzy członków w stosunku do tego, za jaką sumę każdy w ciągu roku uczynił zakupna. Drugi system jest niezawodnie dla gospodarstwa domowego korzystniejszym. Przypuśćmy n. p. że ktoś na niższych cenach w Towarzystwie oszczędzi codzień 20 ct. Pieniądze te „rozejdą się“ jak u nas mówią, bez śladu. Albo mąż wypije o szklankę piwa więcej, albo pani kupi sobie o jedną wstążeczkę więcej, i ostatecznie gospodarstwo domowe prawie tego nie uczuło. Ale jeżeli po roku towarzystwo wypłaci 73 zł. jako zysk od konsumcji, jest to już pieniądz pewien, z którym można coś zrobić. Że jednak u nas trzeba zawsze od razu namacalne wykazać korzyści, przeto zawiązujące się we Lwowie towarzystwo idzie drogą pośrednią, i daje ceny nieco niższe od zwykłych, a po roku wypłaca dywidendę.

Prócz tych — przedstawia jednak towarzystwo inne jeszcze korzyści. Główna uwaga jego zwrócona być musi na to, by mieć dobry, niesfałszowany towar, co szczególniej przy artykułach żywności niezmiernie jest ważnem, dalej na dobrą miarę i wagę, na co zwracamy baczną uwagę gospodeń naszych teraz, gdy zmiana miar i wag od 1. stycznia obowiązkowo zaprowadzona da powód do bardzo licznych nadużyć. Dalej: cena każdego artykułu będzie uwidoczniona w lokalu sprzedaży, a pod surową odpowiedzialnością nie wolno drożej sprzedawać. Wreszcie — odpadnie wieczne utrapienie naszych gospodyń: koszykowe. W Towarzystwie brać można na książeczki tylko, albo za znaczkami, wszelkie przeto nadużycia kucharek będą przez to stanowczo usunięte.

Spodziewamy się, iż praktyczny zmysł naszych gospodyń oceni te korzyści, które nie tylko pieniądzmi się wyrażą, ale i zaprowadzeniem większego ładu w zakupnie, i usunięciem licznych drobnych przykrości, sporów z kucharkami, przekupniami, i t. p.

Mówi się wiele o biedzie, jaka nas gniecie, i nie jeden cel szlachetny, nie jedna myśl piękna, a pewnej ofiary wymagająca z konieczności obojętnymi nas znajduje — bo brak nam środków. Trzebaż przeto solidarnie połączonemi siłami walczyć z biedą, a walczyć z nią można nie tylko większym i korzystniejszym zarobkiem, ale także i uregulowaniem domowego gospodarstwa, i zaprowadzeniem w niem oszczędności bez

uszczerbku swoim potrzebom. Pamiętajmy o tem, iż materjalne podstawy życia są warunkiem osiągnięcia wyższych celów moralnych i narodowych, i nie zaniedbujmy najmniejszego środka wzmocnienia tych podstaw.

BYLE WYŻEJ!

Powieść

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

IX.

Na dzień 25. kwietnia naznaczona była ostateczna rozprawa w sprawie Alfreda Sztolce. obwinionego o skrytobójstwo ojca. Jan ułożył wszystko tak, że uwolnienie jego było więcej niż prawdopodobnem. Szło tylko o usunięcie świadectwa ojca Jana, którego zeznanie jedynie mogło pokrzyżować sprawę. Jan sądził, że w tym względzie nie będzie miał wielkich trudności, że ojciec dość łatwo się zgodzi na odwołanie tego, co poprzednio w sądzie zeznał i dlatego dopiero na parę tygodni przed procesem rozpoczął o tem z ojcem rozmowę. Ale trafił na opór, jakiego wcale się nie spodziewał. Stary ani chciał słyszeć o odwołaniu świadectwa.

— Co zeznałem jest świętą prawdą i odwoływać tego nie myślę — odpowiedział synowi stanowczo. — Z jakiemże czołem śmiałbym wypierać się w obec sądu tego co powiedziałem i co gotów byłem zaprzysiądz?

— Z jakiem czołem, z jakiem czołem— powtarzał syn kwaśno — czyż się to nie robi tak nieraz, że świadek coś powie a potem odwoła?

— Ja do tego nie zdolny — rzekł Dylski z pewną dumą — fałszywie świadczyć nie umiem.

— No, — mruknął syn pod nosem — tego ojciec znowu utrzymywać nie może.

— Co przez to chcesz powiedzieć? — spytał Dylski wpatrując się w syna badawczem okiem.

Jan spokojnie bawił się sznurkiem swego szlafroka i nie zmięszany wcale gwałtownem zapytaniem ojca, odrzekł z flegmą, cedząc zwolna słowa:

— To, że ojciec nie zawsze byłeś tak skrupulatnym.

— I to ty mi mówisz Janie, ty? Jeżeli dopuściłem się czegoś podobnego to tylko dla waszego szczęścia; z obawy o przyszłość waszą popełniłem czyn, który mi teraz zarzucasz. Ale żebym miał krzywoprzysięgać dla obrony złego syna, co nie uszanował najświętszego uczucia, do tego mnie nie namówisz. Owszem będę świadczyć, będę nastawał na to, aby tak straszna zbrodnia nie uszła bezkarnie. Świadcząc przeciw ojcobójcy będę występował jako mściciel w imieniu wszystkich rodziców, którzy cierpią od swych dzieci, a ukaranie niech im będzie nauką.

— Co tam ojcu do tego, co kto robi i jak kto robi. Najlepiej niech każdy pilnuje swojej sprawy.

— Taka sprawa obchodzi wszystkich; tu ludzkość cała czuje się pokrzywdzoną taką zbrodnią. Zbrodnia taka musi być ukarana.

— Ojciec tego przecież życzyć sobie nie powinieneś — rzekł Jan z suchym, jadowitym śmiechem.

— Dla czego? — Jako ojciec muszę czuć oburzenie dla złego syna.

— Być może. Ale jako ojciec adwokata powinieneś sobie ojciec życzyć, aby ten syn został uniewinniony, bo ja go bronię.

— Będziesz go bronił, bo to twój obowiązek ci nakazuje, skoro ciebie wybrał na adwokata swego. Ale nikt nie będzie ci miał tego za ujmę, skoro go nie obronisz. Są zbrodnie, które nie zasługują na litość. Tę już opinja publiczna potępiła pierwej, niż sąd wydał wyrok. To ci więc nie przyniesie uszczerbku.

— Ale jeżeli ojcu powiem — rzekł Jan z powagą i podniósłszy się ze stołka stanął tuż przy ojcu — że od tego procesu zależy szczęście moje, czy i wtedy ojciec będziesz świadczył?

— Jakie szczęście? — spytał Dylski zmięszany tą wiadomością, która podkopywała jego niezłomne postanowienie, wpatrzył się w syna chcąc wyczytać z jego twarzy, czy go nie łudzi i spytał powtórnie: jakie szczęście?

— Tego dziś jeszcze powiedzieć nie mogę. Tyle tylko powiem ojcu, że to jest najważniejszy proces dla mnie, a skoro go przegram stracę to, co uważam za największe dla siebie szczęście na całym świecie. Niech ojciec wie o tem. Więcej nie powiem. Jeżeli chcesz mnie ojciec moralnie zabić, to możesz świadczyć tak, jak chcesz.

To powiedziawszy wyszedł do drugiego pokoju zostawiając ojca w kłopotliwem położeniu. To co usłyszał od syna sprawiło zamęt w jego głowie. Wątpić nie mógł, że to, co Jan mówił, jakkolwiek niejasne i zagadkowe, jest prawdziwem, że musi być jakiś tajemny związek między procesem Alfreda a nim, skoro mu tak zależy na obronie. Wypadałoby mu więc odwołać świadectwo, które mogło potępić obwinionego. Z drugiej jednak strony sumienie mu na to nie pozwalało. Zdawało mu się, że dopuściłby się strasznej zbrodni przeciw wszystkim ojcom, gdyby pomagał w obronie tak strasznego czynu syna, obrona wydawała mu się wspólnictwem. Sumienie jego było więc na rozdrożu i wahało się, którą obrać drogę. Nie mógł zdecydować się stanowczo. Jego pierwotne jednak postanowienie wystąpienia przeciw zbrodniarzowi coraz bardziej blado i słabło w nim, i lubo sobie wyraźnie tego nie powiedział, był już skłonnym iść za radą syna.

Jan był tego pewnym i dlatego ze spokojem oczekiwał dnia sądu. Miał wszelką słuszność wierzyć w wygraną.

Nadszedł nareszcie dzień 25. kwietnia. Sala sądowa była znowu tak pełną jak podczas procesu hrabiny S. Sędziowie w poważnem nastroju weszli na estradę i zajęli swoje miejsca koło zielonego stołu; wprowadzono obwinionego pod strażą, i prokurator rozpoczął oskarżenie. Zebrał on wszystkie poszlaki, zestawił je nadzwyczaj umiejętnie i logicznie i wykazał z nich zbrodnię oskarżonego. Na to oskarżony z lekkim odcieniem pogardliwej dumy odpowiedział, że zarzut zbrodni wydaje mu się tak uwłaczającym, iż broniąc się ubliżałby sobie. Uważał tylko za konieczne zrobić pewne wyjaśnienia sądowi a mianowicie, że w czasie kiedy zbrodnia popełnioną została, on znajdował się w Wiedniu. Powoływał się na świadectwo pewnej damy, Ernestyny Schön, którą nazwał swoją przyjaciółką a która, jak łatwo można było z tłumaczenia się obwinionego domyśleć, była jego kochanką. Ta dama wraz ze swoją pokojówką miała świadczyć, że tej nocy obwiniony znajdował się w jej mieszkaniu przy Rotenturmstrasse. Dalej oświadczył obwiniony, że o śmierci ojca dowiedział się dopiero podczas swego uwięzienia. Na tem zakończył swoje wyjaśnienia zostawiając resztę adwokatowi.

Nastąpiło przesłuchanie świadków. Stary służący nieboszczyka bankiera zeznał, że wieczorem Alfred rzeczywiście przybył niespodziewanie z Wiednia w zamiarze, jak mówił przebłagania zagniewanego ojca, że obiecywał zupełną poprawę życia i zgodził się poprzestać na skromnej miesięcznej pensji, którą mu ojciec miał wyznaczyć i wziąć się do pracy. O tem wszystkiem dowiedział się służący od swego starego pana, gdy przyszedł go rozbierać do łóżka.

— Panu Alfredowi — mówił dalej świadek — kazał pan posłać w trzecim pokoju, który nazywaliśmy od dawien dawna dziecinnym. Ja spałem w przedpokoju. O północy pan zadzwonił na mnie, kazał sobie podać szklankę wody, — mówił, że spać nie może, że jest czegoś niespokojny. Posiedziałem czas jakiś przy nim, a gdy widziałem że usnął, wyniosłem się na palcach z pokoju i położyłem się spać. Byłem znużony i spałem mocno. Przez sen zdawało mi się, że słyszałem jakieś szamotania się i ruch w pokoju pana, zdawało mi się nawet, że wołał na mnie; ale się zbudzić nie mogłem, a rano, gdy się zbudziłem wziąłem to wszystko za sen. Dopiero gdym wszedł do pokoju i zastałem pana bez życia przekonałem się, że to nie był sen. Pan w istocie musiał wołać na mnie; przypuszczałem wtedy, że umarł na apopleksję, że gdy mu się źle zrobiło wołał o pomoc, a nie mając ratunku skończył. W tej myśli pobiegłem do dziecinnego pokoju chcąc zbudzić pana Alfreda i spytać czyby nie należało posłać po doktora, bo może ratunek jeszcze na czasie. Pana Alfreda nie było. Łóżko zastałem nietknięte, żadnego śladu, że tu ktoś nocował, tak, że w pierwszej chwili zdawało mi się także, że to mi się może śniło, że pan Alfred przyjechał. Tak byłem przerażony śmiercią nagłą pana, tak ogłupiały, że doprawdy nie wiedziałem, co sen a co rzeczywistość. Dopiero po chwili zdołałem zebrać zmysły, przypomniałem sobie, że pan Alfred rzeczywiście był i nocował w domu, a nieobecność jego tłumaczyłem sobie tem, że może pierwej spostrzegł stan niebezpieczny ojca i poszedł po doktora. Dla tego bałem się zostawiać tak dom bez dozoru i zostałem przy moim panu. Ale gdy parę godzin minęło i nie było widać ani pana Alfreda, ani doktora, poszedłem sam po fizyka miejskiego który mieszkał obok nas i przyprowadziłem go z sobą. Doktor obejrzał leżącego na łóżku, pokiwał głową i

mówił, że nie ma nadziei. Zadał mi jeszcze kilka pytań a potem sprowadził policję i sąd. Spisano ze mną protokół, gdzie wyznałem to, co i teraz zeznaję, a potem uwięziono mnie.

Tu stary sługa rozbeczał się głośno. Płacz był taki szczery, serdeczny, tak wzruszający do głębi, że świadczył wymownie o niewinności świadka. Zbrodnia nie zdobędzie się nigdy na taki serdeczny płacz, tylko człowiek rozżalony niesłusznem podejrzeniem mógł tak płakać. Zeznanie starego równie jak płacz jego bardzo sympatyczne wrażenie zrobiły na sędziach i publiczności. To też kiedy adwokat podniósł się, i suchym bezdźwięcznym głosem upomniał świadka, aby zaprzestał grać komedję i zechciał odpowiadać na jego pytania, szmer niezadowolenia rozszedł się w sali. Adwokat nie zważał na to i spytał świadka z ironją:

— Więc nie wiecie za co was uwięziono? Ja wam to wytłumaczę. Oto sąd jest przekonany, że wy najlepiej możecie wiedzieć kto zbrodnię popełnił i że w więzieniu może wam się ostatecznie przypomni, czy to wam się śniło, że podczas śmierci starszego pana syn jego był w Krakowie. Z całego toku śledztwa pokazuje się, że to był sen tylko, a raczej zmyślenie ułożone dla zrzucenia z siebie podejrzenia

Starzec spojrzał na adwokata wzrokiem pewnym, szczerym i rzekł uroczyście:

— Nie potępiam ani oskarżam nikogo; powiedziałem prawdę świętą. Pan Bóg który nas słyszy, wie najlepiej kto winny.

Przewodniczący sądu zwrócił uwagę adwokata, że nie jego jest rzeczą tłumaczyć myśl i postępowanie sądu, a wyciąganie wniosków należeć będzie do obrony, którą będzie mógł umotywować po skończeniu śledztwa, że teraz wolno mu tylko stawiać pytania świadkom.

— Pytania są zbyteczne — odparł adwokat. — To co świadek zeznał dostatecznie wykazuje jak słabe i bezpodstawne są podejrzenia, któremi starano się obarczyć obwinionego. W obronie mojej będę miał sposobność przytoczyć z mojej praktyki adwokackiej podobny wypadek, w którym świadek skarżący został uznany sam za winnego zbrodni.

— To się w toku śledztwa pokaże. Czy pan więc nie masz stawić jakiego pytania świadkom?

— Nie.

Przewodniczący zadzwonił i kazał wprowadzić drugiego świadka. Był nim buchhalter, także od lat kilkunastu pracujący w kantorze bankiera Sztolce i cieszący się jego zaufaniem. Zeznał on to, cośmy już poprzednio przytoczyli. Adwokat rówież temu nie widział potrzeby zadawania pytań, zwrócił tylko uwagę sądu, że buchhalter miał klucze od kasy i prowadził rachunki; że rachunki te miały być zamknięte za dni kilka i pewnie ś. p. bankier odkrył był w nich wielki deficyt. To przyspieszyło śmierć jego.

Przewodniczący odpowiedział mu na to, że sędzia śledczy zbadał dokładnie księgi i stan kasy i znalazł je w zupełnym porządku, że zarzut co się tyczy wspólnictwa w zbrodni buchhaltera i służącego pokazał się dotąd zupełnie nie uzasadnionym. Mimo to sąd nie przyjął wniosku prokuratora względem zaprzysiężenia tych dwóch świadków. Było to ważną rzeczą. Zeznania ich bowiem nie miały wielkiej wagi i nie obciążały wcale obwinionego. Najważniejszem miało być zeznanie trzeciego świadka, którym był ojciec Jana. Od tego zeznania zależało potwierdzenie lub unieważnienie zeznań poprzednich. Publiczność z natężoną ciekawością oczekiwała jego przybycia, a gdy go wprowadzono nastała uroczysta cisza.

Po dopełnieniu zwykłych formalności prokurator upomniał świadka, aby zeznał szczerą prawdę, gdyż od jego zeznań zależy, czy obwiniony będzie skazany lub uwolniony. Zwrócił uwagę jego na odpowiedzialność jaką zaciąga wobec Boga i sądu, gdyby powołując się jakiemi względami świadczył fałszywie. Przemowa ta, równie jak uroczysty, surowy nastrój całego zgromadzenia silne wrażenie zrobiła na Dylskim, ogarnęła go świątobliwa trwoga, zapomniał o upomnianiach syna, o jego groźbie i kiedy sędzia zapytał go: czy widział wieczorem na kilka godzin przed śmiercią bankiera, syna jego w Krakowie — odpowiedział:

— Widziałem.

Jan gwałtownie rzucił się na krześle na to słowo, zgniótł papier, który trzymał w tej chwili w dłoni i rzucił na ojca groźne piorunujące spojrzenie. Zeznanie ojca łamało wszystkie jego nadzieje; sprawa, którą uważał za wygraną zaczęła się teraz chwiać, zeznanie ojca mogło ją zupełnie zgubić. Jan szukał w głowie sposobów, jakby temu przeszkodzić.

— Niech nam pan opowie coś bliższego o tem. Gdzie pan widziałeś obwinionego, o której porze i jakie jest pańskie zdanie o tym wypadku?

Dylski opowiedział wszystko, jak wiedział, nie pominął żadnego szczegółu, nawet nie zamilczał o owem pomięszaniu i cofnięciu się Alfreda, gdy go ujrzał na schodach.

Zeznanie to miało wielką doniosłość; prokurator więc wniósł, aby świadka zaprzysiądz.

Adwokat powstał żywo i sprzeciwił się temu.

— Jakie pan podajesz powody? — spytał przewodniczący.

— Świadek nie może przysięgać najprzód dla tego, że może się pokazać, że jest współwinnym z tymi, na których korzyść świadczy; powtóre, że był już kilkakrotnie karany za różne przewinienia, o czem zamilczał, a po trzecie, o czem także zamilczał, był pod zarzutem zbrodni i odsiadywał areszt śledczy w tutejszym kryminale, a lubo nie był karany, jednak został puszczony tylko dla braku dowodów.

Gdy skończył zapanowała w sali okropna cisza, przerażenie zamknęło usta obecnym.

Wszyscy wiedzieli, że świadek był ojcem mówiącego; ta okoliczność nawet wpłynęła prawdopodobnie na sędziów, że zaniedbali wśród śledztwa dochodzić nieskazitelności świadka, nie wpadło nikomu na myśl podejrzywać ojca obrońcy o jakieś kryminalne przestępstwa. Gdy naraz usłyszeli oskarżenie jego i to z ust jego własnego syna. Był to czyn niepraktykowany w dziejach sądownictwa, to też oniemieli wszyscy z przerażenia i podziwu, i strasznie wypatrzyli oczy na ciemną, ponurą twarz adwokata, który stał nieporuszony, zimny i z bezczelnym spokojem utkwił oczy w sędziego.

Ale najokropniejszy widok przedstawiał sam Dylski. Wpatrywał się w syna wzrokiem nieprzytomnym, zdziczałym, zdawało się, że oczy jego nabiegłe krwią chcą wyskoczyć z oprawy, że włos rozczochrany powstał na głowie z przerażenia nad tak potwornym czynem syna. Nie mógł uwierzyć temu co widział, co słyszał, wydawało mu się to niepodobnem. Myśl jego pracowała nad wytłumaczeniem sobie tej strasznej niespodzianki, jaka go spotkała, a od natężenia myśli żyły na spoconem czole wystąpiły jak powrozy, a twarz miała kolor rozognionego karbunkułu. Przerażenie odjęło mu ruch i mowę.

Dopiero kiedy przewodniczący spytał go: co ma przeciw tym zarzutom powiedzieć, drgnął cały, jakby dotknięty piorunem i upadł z łoskotem na ziemię.

W sali zrobiło się zamięszanie; szmer oburzenia na potworny czyn adwokata wzmagał się w głośne pogróżki i klątwy. Sędziowie zapomnieli o sprawie i zbrodniarzu, którego sądzić mieli. Inna straszniejsza zbrodnia dokonywała się w ich oczach, na którą jednak kodeks nie ma paragrafu. Zbrodniarz stał nienaruszony.

Kilka osób rzuciło się do ratowania upadłego. Wyniesiono go z sali.

Jan ani się obrócił, ani się ruszył nawet, jakby nie widział tego wszystkiego. Prosty, sztywny stał jak czarny słup; spokój jego i zimna krew robiły wrażenie okropne. Było coś demonicznego, piekielnego w tym spokoju człowieka depcącego najświętsze uczucia. Natura ludzka musiała się oburzać na takie zbezczeszczenie praw swoich. W obec zbrodni obrońcy, zbrodnia obwinionego zmalała. Zbrodni tej jednak nie można było pociągnąć przed kratki i pomimo oburzenia sędziowie musieli wrócić do dalszego toku sprawy i udali się na ustęp, aby naradzić się nad wnioskiem obrońcy.

Po kilkunastu minutach wrócili i oświadczyli, że sąd zbadawszy rzecz postanowił nie zaprzysięgać Jędrzeja Dylskiego. Była to straszna konieczność, że sędziowie musieli przyjąć potworny, nieludzki wniosek zbrodniarza; litera prawa wymagała tego.

Rozprawa trwała jeszcze parę godzin i obwiniony o zbrodnię ojcobójstwa Alfred Sztolze nie został uznany za winnego.

Jan swego dokazał.

W czasie kiedy się to działo w sali sądowej, na korytarzu gromadka ludzi otoczyła starego Dylskiego leżącego bez przytomności; przyszło paru doktorów, którzy przypadkiem znajdowali się w gmachu sądowym, puszczono krew, cucono, tarto; ale nie zdołano przywrócić go do przytomności.

— Trzeba go odwieść do domu — rzekł doktor.

— Któż wie gdzie mieszka — odezwał się ktoś.

— Ja wiem — odpowiedział inny. — W domu bankiera.

— Już tam nie mieszka. Mieszkał przy synu od jakiegoś czasu.

*

— Trzeba go tam odwieść — rzekł doktor—będzie potrzebował starannej opieki.

— U syna jej pewnie nie znajdzie.

— Taki syn — bodaj się nie rodzili tacy.

— Gotówby go zabić. On gorszy od zbója. Lepiej dać go do szpitalu.

— Tak, do szpitalu najlepiej. Tam będzie miał wygody.

— I nie będzie widział syna, to mu także pomoże do zdrowia.

Posłano po fjakra i przywieziono Dylskiego do szpitalu. Tam znowu powtórzono usiłowania ocucenia go; ale naprożno. Leżał nieprzytomny, z oczami osłupiałemi, siny jak świeżo zastygłe żelazo i sztywny. Szpitalni chorzy, którzy się dowiedzieli zaraz o przyczynie, jaka sprowadziła apopleksję, otoczyli starca z troskliwością i współczuciem.

— Nie będzie nic z niego — rzekł jeden.

— Może i lepiej — mówili inni — nie będzie przynajmniej widział miłego synala. Co mu po takiem życiu.

(C. d. n.)

STUDJA O SZTUCE W POLSCE

Skreślił

JÓZEF ROGOSZ.

(Ciąg dalszy.)

Wystawa obrazów we Lwowie w r. 1875.

I.

Jan Matejko.

Idealizm i realizm, oto dwa pojęcia, dwa wyrażenia, będące dziś w myślach i na ustach każdego. Zaledwie pojawi się jaki poeta, malarz, rzeźbiarz lub muzyk, ogół pyta natychmiast, czy on idealista, czy realista? Pochodzi to ztąd, że świat rozłamał się na dwie połowy, z których pierwsza wzdychając do idealnych wzorów przeszłości uwielbia idealizm, a druga przywiązując się silnie do zimnej teraźniejszości pragnie wszędzie realizmu.

Oddawna utarło się przekonanie, że Matejko jest skończonym realistą w sztuce. Tymczasem tak nie jest. Jak Grottger, tak i Matejko stara się pogodzić idealizm z realizmem, a różnica między nimi tylko ta zachodzi, że gdy pierwszy skłaniał się więcej ku idealizmowi, drugi wyznaje chętniej zasady realizmu. Godzenie obu tych kierunków, objawia się w pracach wszystkich artystów polskich, i to zdaniem naszem jest prawdziwym charakterem szkoły polskiej.

Pomysły Jana Matejki do prac historycznych są wprawdzie realne, bo z dziejów czerpane, ale twórcza jego fantazja tak się przekształciła, że każda z jego scen dramatycznych jest więcej idealną jak realną. Kopernik sam, został także aż nadto idealnie pomyślany. Pod pewnemi względami Matejko jest także idealistą w charakteryzowaniu poszczególnych indywidualności. Każda z jego figur jest piękną, a wstrętnych nigdzieśmy u niego nie widzieli, chociaż życie realne ukazuje nam ich tysiące. Nawet Poniński, (*Rejtan*) nie jest odrażającym, a Moskale, (*Batory*) są ludźmi wcale przyzwoitymi, powiedziałbym nawet sympatycznymi. Jeżeli zważymy, że byli i są artyści, którzy biorąc naturę taką, jaką na każdym kroku spotykają, z prawdziwą przyjemnością malują rzeczy i sceny oburzające swoim realizmem, to przynać musimy, że Matejko jest w części idealistą.

Realistą jest on natomiast w rysunku i kolorycie, gdyż takie linje i takie kolory nie mogą znajdować się w krainie ideałów — a skończym, powiem nawet *skrajnym* realistą jest w układzie osób i ugrupowaniu.

Batory włożył płaszcz koronacyjny, a usiadł jak prosty żołnierz, ustawiając nogi gorzej jeszcze jak żołnierz. Tak w naturze być nie mogło. Albo przyjęcie posłów było chwilą uroczystą, a w takim razie król przyjmował ich z godnością, bo o tem nawet szeik murzynów nie zapomina, — albo Batory słuchał moskali całkiem po żołniersku, bez żadnej ceremonji. W pierwszym wypadku poza nie odpowiada złotej szacie — w drugim płaszcz złoty jest zupełnie zbyteczny. W *Unji* układ pojedyńczych figur wraz z ugrupowaniem są tak realne, że aż nieprawdopodobne — Stańczyk wyciągnął nogi nadto realnie, a Rejtan leży przy drzwiach sali sejmowej w takiej pozie, w jakiej żaden bohater leżeć nie może. Rozrzucone jego nogi, rozwiane poły kontusza, ręce, głowa, słowem wszystko jest u niego barokiem. Słusznie napisał J. I. Kraszewski w *Rachunkach*, że Rejtan wygląda jak człowiek rzucony wielką chorobą. W rzeczywistości onby tak leżeć nie mógł. A sala sejmowa czy mogła tak wyglądać? Czyż oczy wszystkich nie byłyby tam zwrócone na Rejtana? Przypuśćmy atoli, że Rejtan leżał tak w rzeczy samej, i że cała sala mogła tak wyglądać. Czyż to jeszcze usprawiedliwia skrajny realizm Matejki? Jeżeli wiernie skopiowanie natury miałoby być prawdziwem dziełem sztuki, to chyba każdy proces kryminalny byłby najlepszym dramatem.

* * *

Po roku 1831, a więcej jeszcze po r. 1848, w Polsce zaczął objawiać się kierunek krytyczny. Wybrańcy narodu powiedzieli sobie, że dosyć już łez i narzekań, dosyć uwielbienia przeszłości która nie zawsze na uwielbienie zasługiwała, a czas spojrzeć krytycznie w nasze dzieje, w nasze stosunki, aby złe usunąć i przez budowanie dobrego ojczyznę wskrzesić. Powiedzieli oni, że tak długo nie podniesiemy się z upadku, póki własnych błędów sami nie poznamy. *Skarga*, *Rejtan* i *Stańczyk* oto dzieła wywołane tym prądem krytycznym. Nie powstały one z ducha samego tylko Matejki, ale z ducha całego społeczeństwa. Krytyczna ta tendencja Mistrza krakowskiego, przebija się także w dwóch ostatnich jego pracach. Wychłostawszy nas po trzykroć, wskrzesił potem chwile naszej wielkości, do której powinniśmy dążyć, w *Unji* i *Batorym*, a w *Zawieszeniu dzwonu Zygmunta* i *Iwanie Groźnym* wskazał drogę, po której należy kroczyć, aby utraconą wielkość odzyskać. Gdy dzwon chrześcijański dzwonił w Polsce, gdy idea cywilizacyjna rozlewała się po naszych ziemiach — w Moskwie panowały: ciemny, azjatycki despotyzm, pożoga i rusztowanie. Światłem i cywilizacją pokonamy wroga, którego despotyzm jest i dziś jeszcze prawie taki, jakim był za czasów Iwana Groźnego!...

* * *

Czy Matejko może mieć potężnych naśladowców, którzyby wraz z nim utworzyli szkołę odrębną? Wątpimy. Pomysłów nikt się od niego nie nauczy, bo z wielkiemi myślami trzeba się urodzić; układu i grupowania figur nie nauczy on także, bo te rzeczy są i dla niego nie łatwe do pokonania; a co do jego rysunku, to jest on tak dowolny, i tak trudny do ujęcia w system jakikolwiek, że zaledwie wielki talent może go sobie przyswoić. Jest atoli w Matejce siła i męskość, co powinnoby się utrzymać w całej sztuce polskiej. Dotąd spotkałem tylko dwóch, których rysunek przypomina Matejkę. Pierwszym jest Andriolli, illustrator warszawski, drugim Chełmoński, rysujący konie z tem samem zacięciem, z jakiem Matejko rysuje ludzi. Co do kolorytu, ten może po Matejce przejść w spuściźnie na jego uczniów. Jak Słowacki, talent genjalny, lecz w żadne karby nie ujęty, stworzył wielkich naśladowców słowa, tak i Matejko stworzy prawdopodobnie mistrzów formy. Kto mu i w formie nie sprosta, a koniecznie naśladować go zechce, ten będzie produkował okropne bohomazy, jak niefortunni naśladowcy Słowackiego produkują niedorzeczności.

* * *

Powiedziałem, że ponieważ Grottger i Matejko są tylko *genjalni*, a zaden z nich nie jest pełnym genjuszem artystycznym — przeto nie możemy ich uważać za ostatni wyraz sztuki polskiej, która czeka na *genjusza*. Oto formułka, streszczająca cały nasz pogląd na obu tych artystów

	Po mysł.	Wykonanie.	Technika.
Grottger	$+$	$+$	$\pm$
Matejko	$+$	$\mp$	$+$

Artysta, któremu wszędzie damy matematyczny znak $+$ będzie koroną naszej sztuki. Takiego niech nam będzie wolno spodziewać się w niedalekiej przyszłości.

(C. d. n.)

OSTATNI Z ROMANOWYCH.

Oryginalne pamiętniki z czasów carycy, Katarzyny II.

(Ciąg dalszy.)

I.

Sałtykowowi umarł ojciec, co go zmuszało wyjechać do Moskwy; gdy po uzyskaniu pozwolenia od w. księcia, żegnał się z Katarzyną, nie umiał utaić przed nią zmartwienia, jakiem był przejęty z powodu tego wyjazdu. Na widok łez w jego oczach, w. księżna, okazała się nie mniej wzruszoną, a rzuciwszy tkliwe spojrzenie na Sałtykowa, namawiała go znacząco, aby wracał jak najprędzej dla pozbycia się smutku pośród dworu, gdzie bez niego nie znajduje najmniejszej przyjemności.

Łatwo zrozumieć, jakie wrażenie musiały wywrzeć na Sałtykowie te słowa. Zdawało mu się odtąd, że jest kochanym, przez co próżność jego niemało urosła. Podróż zaledwo trwała kilka dni; bo i cóż mogło znaczyć uporządkowanie spraw domowych w obec słodkich nadziei, które miał przed sobą — jakiż mogła mieć urok dla niego Moskwa w obec Petersburga!... Rzucił wszystko i poleciał przekonać się o swojem zwycięztwie; lecz w miarę zbliżania się do swej pa-

ni, złudne rojenia, które urosły w nim w oddaleniu, zaczęły powoli niknąć. Myśli poważne i smutne zajmowały jego duszę; poznawał on całe niebezpieczeństwo swojej miłości i nie śmiał łudzić się nadzieją, żeby Katarzyna dla miłości pospolitego szambelana mogła zapomnieć o tem, co była winna swemu stanowisku, jako przyszła panująca i swemu mężowi. — A jeżeliby dostąpił tego szczęścia, to czyż mógł spodziewać się że oszuka bystry wzrok zawistnych dworaków, którzy ich otaczali? Jak zresztą ośmielić się na czyn, grożący nie tylko wiecznem więzieniem lecz nawet pozbawieniem życia? Dreszcz pomimowolny przeniknął go i wzdrygnął się na widok nadziei, którémi żywił się tak długo. Dręczony smutkiem i rozpaczą, Sałtykow, nie okazywał już tej świetnej wesołości, którą dotąd promieniało jego oblicze, wyróżniając go korzystnie wśród innych, chociaż starał się ukrywać niepokój. Głęboka melancholja rozlała się na jego obliczu i ogarnęła serce, a zdrowie opuszczało go widocznie z dniem każdym.

W. księżna była tem niezmiernie zatrwożoną, i pewnego razu zostawszy z nim sam na sam, zapytała o przyczynę tej strasznej zmiany. Sałtykow nie mógł dłużej panować nad swoją miętnością to też wyznał wszystko, co mu ciężyło na sercu. Katarzyna słuchała go bez gniewu, zdawało się nawet, że go żałowała, chociaż doradzała mu równocześnie, aby stłumił w sobie namiętność, która była nie tylko niestosowną lecz nawet niebezpieczną. Sałtykow, chociaż był młody, znał się dobrze na kobietach; wiedział on dobrze, że ta, która pozwala kochankowi robić przed sobą miłosne wyznania, tem samem ośmiela jego namiętność. Nabrał więc odwagi, a rzuciwszy się do nóg w. księżnej zuchwale zaczął je całować. Katarzyna zmięszała się mocno, łzy popłynęły jej z oczu, a uwalniając się od uścisków zachwyconego Sałtykowa, przytoczyła mu wiersz Monify Kenfarsu (?):

— *Bons pleurs que vous m'aller couter!* — poczem weszła szybko do gabinetu, gdzie się zamknęła.

Odtąd szambelanowi wróciła wesołość razem z nadzieją. Wszyscy poznawali tę zmianę. Caryca Elżbieta, podczas pobytu w. księcia z jego małżonką w Oranjenbaumie, miała zwyczaj zapraszać ich często na festyny dworskie. Podczas jednej z tych uroczystości, Sałtykow został całkiem uszczęśliwionym. Nie życząc sobie być w teatrze ani na balu, gdzie mnóstwo nieskromnych wzroków badałoby ją i tem samem nabawiało niepokoju, Katarzyna udała chorą. W. książę był tak zaślepiony w swoim szambelanie, że prosił go, by zechciał osłodzić samotność żony i nie oszczędzał swego dowcipu dla zabawienia chorej. Było to wszystko, czego sobie życzyli kochankowie.

Dość długo najmniejsza troska nie zaćmiła szczęścia młodego szambelana, chociaż w. księżna nie zawsze była dość ostrożną w ukrywaniu swojej miłości ku niemu. Zawsze złośliwi i zawsze zawistni dworzanie, zaczęli szukać źródła względów, które w oczy wszystkich uderzały, a z których korzystał Sałtykow z ich krzywdą; śledząc bacznie ich kroki, wkrótce odkryli istotną przyczynę; zaprzysięgli więc zgubę szczęśliwemu szambelanowi. Nawet ci, którzy uchodzili za najlepszych jego przyjaciół, i tem samem mieli największą możność szkodzenia mu, pierwsi potajemnie donieśli carowej o jego miłośnym stosunku z w. księżną. Będąc sama niewierną żoną, Elżbieta, być może że nie byłaby zbyt obrażoną tą całą intrygą, ale w pierwszej chwili swego gniewu, i w zapędzie dumy, przyrzekła ukarać zuchwalstwo Sałtykowa wysłaniem go na Sybir.

Zawiadomiony o niebezpieczeństwie, które mu groziło, Sałtykow, dołożył wszelkich starań, by odwrócić od siebie cios grożący; przedewszystkiem uważał za rzecz najstosowniejszą być niezachwianym i nieulęknionym, przyjmując pozór niewinnie obmawianej ofiary. Niezwłocznie też pospieszył do w. księcia ze skargą na oszczerstwa, które zuchwale rozsiewano, przyczem dowodził, że nigdy nie byłby się ośmielił tak często odwidzać w. księżnę, gdyby na to jego wyraźnych rozkazów nie odbierał; że nigdy się z nią inaczej nie obchodził, jak to przystało osobie na jej wysokiem stanowisku, przyczem wtrącił, że wszystko to jest wymysłem, wymierzonym przeciw następcy tronu, gdyż honor tronu zostanie temi niegodziwemi pogłoskami mocniej skrzywdzony, aniżeli honor zwykłego szambelana. W końcu, jakby na potwierdzenie prawdziwości słów swoich, prosił w. księcia, by mu pozwolił wydalić się do Moskwy, co niezawodnie uspokoi podejrzliwość carycy, i przetnie sieć złośliwych plotek jego nieprzyjaciół. Łatwowierny książę nie nie tylko został oszukany tą przemową, ale nadto dał do zrozumienia, że własny jego honor, jako następcy tronu, nakazuje, by Sałtykow pozostał nadal przy jego żonie, i ani pomyślał o wyjeździe. W. książę poprosiwszy niezwłocznie o posłuchanie u carowej, skarżył się przed nią na zuchwałe i bezwstydne pogłoski, wszędy rozsiewane, przyczem bronił Sałtykowa z taką wymową, przedkładając dowody tak przekonywające i prawdziwe, że Elżbieta nie mogła im nie uwierzyć uznając wszystkie donosy na w. księżnę za złośliwość dworaków.

Tymczasem gdy cała ta scena odbywała się na pokojach carowej, w. księżna także nie próżnowała, starając się nie tylko zbić haniebne pogłoski lecz także ocalić swego kochanka.

Któż zresztą mógł go lepiej obronić od niej samej? Dowiedziawszy się od Naryszkinowej o przyjacielskiem zachowaniu się w. księcia w celu usprawiedliwienia Sałtykowa, i o skutkach jego zabiegów, pojawiła się natychmiast przed carową. Na jej twarzy nie było widać łagodności, z którą przed nią zwykle stawała, ale ze łzami w oczach poczęła Elżbiecie wyrzucać, że mogła przypuścić prawdziwość tak haniebnych pogłosek, zuchwale na nią rzucanych.

Zgryzota, zemsta i gniew, dodały tyle siły jej wymowie, że Elżbieta nie śmiała w niczem zaprzeczyć, przeciwnie, zbudowała się najzupełniej cnotą w. księżnej, nie wątpiąc więcej o jej niewinności. Zwycięztwo Katarzyny było nie równie świetniejsze jak wygrana w. księcia.

Tego wieczora jak zwykle odbywała się zabawa u carowej, na której dała do zrozumienia Sałtykowowi, że się nie ma czego obawiać. Szambelan został zaproszony do wista.

— Czy szczęśliwie gracie? — zapytała go ze zwykłą dobrocią Elżbieta, stając za jego krzesłem.

— W przeciągu całego mego życia, W. C. M. — odpowiedział Sałtykow, nigdy nie doświadczałem szczęścia w grze.

— To źle; ale być może — dodała — że to pochodziło głównie z twojej niezręczności? Powiadają, że macie zamiar opuścić w. księcia, lecz ja nie chcę temu wierzyć i proszę o tem nie myśleć; bądźcie pewni, że gdyby wasi nieprzyjaciele jeszcze raz pokusili się wam szkodzić, wtedy ja sama podejmę się waszej obrony.

Gdyby nawet Sałtykow miał był zamiar dwór opuścić, to wystarczały te słowa, aby go na nim utrzymać; dworzanie zaś postrzegłszy, że zostali tak jawnie upokorzonemi, uznali odtąd za stosowne milczeć o miłości w. księżnej.

Odtąd Sałtykow nie widział nigdzie najmniejszego niebezpieczeństwa dla siebie, a Katarzyna nie przestrzegała także od tego dnia zbyt wielkiej ostrożności. Zresztą sama Elżbieta dawała tego wymowny przykład wolnemi obyczajami i niemal codziennem mienianiem kochanków, co poniekąd usprawiedliwiało płochość Katarzyny. Caryca zdawała się umyślnie nie chcieć domyślać intrygi, albo udawała, że to ją wcale nie gniewa. Czas wszystko niszczący i przygłuszający najgorętsze nawet namiętności nie wywierał najmniejszego wpływu na Katarzynę, która wkrótce spodziewała się zostać matką. Sałtykow z dniem każdym stawał się coraz większym panem jej serca, ale szczęście jego nachylało się ku końcowi, gdyż sam stał się przyczyną swojej zguby.

Razem z innymi, w. kanclerz Bestużew przestał był także narzekać na szczególniejsze względy, które okazywano dla Sałtykowa. Wszelako nie przeszkadzało mu to śledzić szambelana, chcąc bądź co bądź usunąć go od tronu w. księcia. Staryminister nic lepszego niemógł wymyśleć jak zbliżyć się do faworyta książęcego. Bestużew któremu posada kanclerza oddawała w ręce wszystkie sprawy państwa i który prócz najwyższego zaufania, posiadał głębokie wiadomości polityczne, co wszystko wyniosło go na najpotężniejsze stanowisko w carstwie, ten Bestużew stał się uniżonym pochlebcą Sałtykowa. Wynurzał się przed nim, okazywał głęboki szacunek, chwalił i przymilał się; odkrywał przed nim ważniejsze tajemnice polityczne, żądając rady, a w końcu do tego stopnia nim owładnął, że szambelan zaślepiony dumą, uważał przebiegłego i zdradzieckiego ministra za swego najlepszego przyjaciela. Bestużew widząc cały swój wpływ, nie myślał o niczem innem, jak o pozbyciu się tak niebezpiecznego rywala i w tym celu namówił go do najzgubniejszej rzeczy. Oto dał mu jasno do zrozumienia, że jeśli chce zapewnić sobie całkowitą przewagę nad umysłem w. księcia, powinien starać się odepchnąć od niego wszystkich znakomitszych, ambitnych i rozumnych, zastępując ich ludźmi bez oświaty, oraz niskiego pochodzenia, albo wreszcie takimi, którzy już są dobrze znani Sałtykowowi z niewolniczych skłonności ku niemu.

Sałtykow nie tylko nie dopatrzył się rozstawionych sieci, lecz nadto nie był w stanie zgłębić przyczyny podobnego postępowania. Łaska, jaką posiadał u najwyższych osób, przemawiała za możnością dokonania tego zamiaru, a że i pycha jego wzrastała z dniem każdym, więc postanowił dopiąć tego, co mu doradzał stary kanclerz; tym sposobem jedna chwila nierozwagi obaliła powodzenie lat kilku.

(C. d. n.)

ISMAILIA

przez

SAMUELA W. BAKER.

Opis ekspedycji do środkowej Afryki dla zniesienia handlu niewolnikami.

Spisał według oryginału angielskiego

K. H. ŚLEPOWRON.

(*Ciąg dalszy.*)

XII.

Wyprawa po zboże.

Teraz należało pomyśleć o rozkwaterowaniu się na zdobytej pozycji, do czego wydałem stosowne rozporządzenia, a ulokowawszy wojsko w trzech zaribach, sam z porucznikiem Baker i oddziałem „Czterdziestu“ zająłem czwartą zagrodę. Taki podział nie wypadł po myśli Raoufa Beja, który twierdził, że rozdzieleni w ten sposób, zostaniemy wyrżnięci nocą przez Barysów; podług niego, trzeba było wszystkich ludzi jak owce zamknąć w jednej zagrodzie. Pomimo łatwo odniesionych zwycięztw, oficerowie moi bali się jeszcze niepospolicie naszych nieprzyjaciół, co mnie zupełnie upewniało, że nie popełnią żadnej niedorzeczności będąc z natury skłonni do zaczepek.

Od tego dnia byliśmy ciągle zajęci zbieraniem zboża, tylko że żołnierze według swego zwyczaju leniwo robili, gdy tymczasem mieszkańcy pracując z zapałem, nocą dziesięć razy tyle zboża uprowadzali, aniżeli my przez dzień cały mogliśmy dla siebie zabezpieczyć.

Barysi widząc, że jesteśmy nadto silni, by nam mogli otwarcie stawić czoło, jako dobrzy dyplomaci wysłali kobiety, do traktowania z nami o pokój, chcąc tym sposobem uzyskać nieco czasu, aby o ile możności jak najwięcej zebrać zboża. Dążeniem mojem był zawsze żyć w pokoju i tylko zmuszony byłem prowadzić wojnę; za pierwszym więc krokiem przyjaznym zawarł się ściślejszy związek między nami, a starym szejkiem Jardą, mieszkającym o dwie mile od gór Belinian. Miał on bardzo mądrą siostrę, wielkiemi obdarzoną zdolnościami dyplomatycznemi, która mogła kwalifikować się na prawdziwego ministra spraw zewnętrznych. Z wielką płynnością objaśniła nam politykę Belinian, o ile to zresztą było korzystnem dla jej widoków, zgrabnie przytem wtrącając, że wszystkie kobiety są za rządem, i starają się użyć w tym duchu swego wpływu nad mężczyznami, z których wielu, jak zazwyczaj mężczyzni, są bardzo uparci, i przeciwstawiają im błędne swoje zapatrywania. Stary Jarda miał już lat osiemdziesiąt, i przy swojem doświadczeniu i rozumnem zapatrywaniu, umiejąc ocenić wartość dobrego doradcy, pozostawił całe prowadzenie kroków dyplomatycznych siostrze, która zajęta gorliwie sprawą, przebiegała całą okolicę, zbierając najgłówniejszych naczelników, i sprowadzając ich na naradę z nami. Było jak zawsze z tutejszymi mieszkańcami dużo gadaniny, dobrych chęci, obiecanek i przyrzeczeń dla nowego rządu, jako też solennych zapewnień, że w napadach na Gondokoro brała udział tylko mała część Belinian, a ludzie szejka Jardy zupełnie się w to nie mięszali. Jednocześnie podczas rokowań, tysiące kobiet i dzieci, zajętych było zbieraniem i unoszeniem zboża; okolica cała zdawała się roić koszykami, które kręciły się we wszystkich kierunkach, niesione na głowach krajowców niewidzialnych wśród wysokiej trawy.

Zostawiwszy moich ludzi pod naczelnem dowództwem Raoufa Beja, powróciłem do Gondokoro po zasiłek, a zebrawszy dwustu wioślarzy, i uzbroiwszy ich odpowiednio, wróciłem po dwóch dniach w towarzystwie mojej żony. Mieliśmy teraz 650 ludzi do zbierania ziarna, którego po moim powrocie nie mało brakowało, chociaż stosunkowo nie zastałem takiej ilości zebranej. Położenie nasze zabezpieczone trzema zaribami, odległemi od siebie o półtorej mili, na której przestrzeni rosło zboże, było dosyć silne, i gdyby łany dobrze były pilnowane, ziarka jednego nie powinnoby brakować, ale na złą wolę nie ma sposobu. Tymczasem o majorze Achmet Rafiku nie było żadnej wieści; nie powrócił do Gondokoro, a z nami także się nie złączył; dopiero w kilka dni dowiedziałem się od kobiet z Belinian, że został przez Barysów zabity, i to w tym samym dniu, gdyśmy tu przybyli. Widocznie chcąc nas dogonić, skierował się wprost ku górom Belinian, w nadziei złączenia się z armją, przecinając nam drogę. Ścieżka jednak, którą obrał przez las, zaprowadziła go na sam kraniec doliny, wręcz w przeciwnym kierunku. Tak przyszedłszy nad koryto prawie wyschłej rzeki Belinian, usiadł aby wypocząć pod drzewem, gdzie dostrzegli go krajowcy, którzy zaraz urządzili na niego obławę, jak na dzikiego zwierza. Broniąc się wypalił z rewolweru do jednego Barysa, który jest jeszcze przy życiu, z kulą utkwioną w czaszce, i ma wedle opowiadań kobiet, ogromną gulę na głowie. Otoczony jednakże przeważną siłą Achmet Rafik uległ, a broń i amunicja jego dostały się w ręce krajowców.

Zabrawszy zaraz jedną kompanję wojska, poprowadzony przez tutejszego przewodnika, udałem się na zachodni kraniec doliny, w miejsce gdzie oficer mój został zamordowany; ale winnych morderstwa nie zastałem, ani nie znalazłem broni, którą miałem nadzieję odszukać w jakiem ukryciu. Był tam las dosyć rzadki, pod którego cieniem, kryły się wsie gęsto zabudowane; wszedłszy weń rozrzuciłem część moich żołnierzy dla przeszukania zarośli, i niebawem spotkaliśmy znaczne stado bydła, i część mieszkańców, którzy pod zasłoną drzew sądzili się bezpieczni.

Pocisnąwszy konia wpadłem w środek dzikich z porucznikiem Baker, pułkownikiem Abdel Kaderem i moim służącym Monsoorem. Tuż za nami postępowało wojsko. Po szarży, dzicy rozbiegli się, a kilkanaście strzałów danych przez wojsko za nimi, spowodowało ich ucieczkę bez śladu. Bydło zaś na widok czerwonych mundurów regimentu „Czterdziestu,“ i odgłosu strzałów przestraszone rozpierzchło się po lesie. Nie małe to było zadanie zająć całe stado przy pomocy czterech tylko koni; nikt bowiem, kto nie uganiał w Afryce za bydłem, z gatunku znajdującego się w okolicy Gondokoro, nie ma pojęcia o szybkości tych zwierząt, które pędząc cwałem, nigdy się nie męczy. Galopując tak za uciekającemi krowami, żeby je okrążyć, wypadliśmy szczęśliwie wprost wyschłego łoża rzeki, które wstrzymało na chwilę w biegu rozpierzchłe stado; osadzając konie zaczekaliśmy na naszych żołnierzy. Za ukazaniem się kilku ludzi, z pułku „Czterdziestu,“ którzy znakomicie umieli biegać, zabraliśmy się zaraz do przegnania bydła na drugą stronę, które zobaczywszy wolny teren przed sobą, wpadło ponownie w szalony bieg, wodząc nas tym sposobem za sobą blisko trzy mile.

Trzymając się każdy jednego boku stada, podczas gdy dwóch z tyłu zaganiało, zdołaliśmy w końcu zapanować nad kierunkiem jego biegu, zmierzając ku naszemu obozowi. Każde stado bydła prowadzą zazwyczaj dwie sztuki, które przodując kierują wszystkiemi ruchami swoich towarzyszy; w naszem stadzie znajdowały się dwie krowy, za któremi reszta zdążała. Otóż te dwie niesforne nie chciały w żaden sposób wejść do obornika, który za naszem zbliżeniem się do obozu, otworzyli moi ludzie, dopomagając nam do wpędzenia bydła. Idące przodem krowy, zwróciły się w bok, i w całym pędzie zaczęły uganiać po otwartej płaszczyźnie, ścigane przezemnie i pułkownika Abdel Kadera; szczególnie jedna z nich, czarna w białe płaty, była nadzwyczajnie zła, a przyparta z bliska odwróciła się ku nam zuchwale. Ja jechałem na najlepszym moim koniu „The Pig,“ który silny i szybki w biegu, doskonale pojmował sztukę forsowania bydła; to też zwinnym skokiem uszedł wściekłemu natarciu krowy, która podobna do dzikiego bawołu, na oślep ku mnie się rzuciła. Wymierzywszy z rewolweru, posłałem jej kulę pod łopatkę, co ją spowodowało do zwrócenia się ku pułkownikowi Abdel Kader. Ten jechał na dużym i ciężkim kasztanie, przezwanym „Jamoos“ (Bawół), który stał jak wryty, a sam pułkownik zamiast wystrzelić z zimną krwią oczekiwał napadu krowy; ta z całą wściekłością rzuciwszy się na niego, rogiem przebiła mu nogę prawie na wylot. Strzałem w głowę, położyłem na miejscu krowę, ale pułkownik mocno cierpiał, i prawie nie mógł utrzymać się na siodle.

Po obliczeniu bydła okazało się 165 sztuk; było to stado małe, ale kosztowało nas dużo mozołu, i jedyna z tego satysfakcja, iż Barysi przyszli do przekonania, że koniom naszym nic nie ujdzie.

Stary Jarda usłyszawszy o naszem powodzeniu, przybył zaraz nazajutrz ze swoją dyplomatką siostrą, odwidzić nas w obozie, i prosić o cielę, które mu darowałem. Wtenczas siostra jego oznajmiła mi, że jeden szejk z gór, upraszał o pozwolenie odwidzenia mnie w mojej kwaterze. Na drugi też dzień przybyła w jego towarzystwie. Był to ładny mężczyzna, którego wzrok jednak wcale mi się nie podobał, a słysząc przytem poprzednio, że był w złych z Jardą stosunkach, patrzałem niedowierzająco na te odwidziny.

Po zwykłych oświadczeniach przyjaźni, ze strony szejka Wani, tak bowiem się nazywał, przyszła z kolei prośba o cielę, które dałem, a później zażądał owcy, której także nie odmówiłem. Nareszcie zaczęliśmy rozmawiać o bieżących sprawach. Z opowiadania szejka wynikło, że Barysi z Belinian byli wciągnięci w przymierze przez Allorona, szejka z Gondokoro, jednocześnie z plemieniem Loquiów, w celu zniesienia naszego obozu. Z początku ci ostatni bali się nas zaczepić, lecz po zapewnieniu, że wojsko rządowe składa się z samych tchórzów, którzy nie śmieją wydalić się z pod zasłony swego obozu, i łudzeni prócz tego uśmiechającym się do nich łupem dużego stada, tudzież złożonych w magazynach towarów, przyłączyli się w końcu do Belinian. Po wykonanym nocnym napadzie na nasz obóz w Gondokoro, dużo bardzo ludzi z plemienia Loquia padło, rażeni strzałami naszych karabinów, a wielu rannych w drodze zmarło, co Loquiów tak oburzyło, gdyż uważali się haniebnie wystawieni na pierwszy ogień, że nie chcąc powracać z próżnemi rękoma, zabrali po

drodze Belinianom 2.000 sztuk bydła, uchodząc w góry do swoich wsi, o dwa dni marszu oddalonych.

Po wizycie szejka Wani, doszły mnie niektóre bliższe informacje, dające wiele do myślenia o osobie szejka i jego zamiarach. Wkrótce też odwidził mnie powtórnie wyż wzmiankowany Wani, ze starym Jardą, któremu i tym razem towarzyszył nierozłączny minister i kilku jeszcze naczelników wsi. Wszyscy po krótkiej konferencji zaproponowali mi ogólne przymierze. Lecz jak zawsze każdy alians murzynów ma na celu zgniecenie jakiegoś nieprzyjaznego sąsiada, tak i teraz Barysi z Belinian oświadczyli się, że chętnie będą podlegać nowemu rządowi, jeżeli złączywszy się z nimi, urządzimy wspólną wyprawę na szejka Lokko, który rządzi okolicą szesnaście mil odległą od Belinian. Strony, dokąd miałem z nimi pospieszyć, opisywali mi nadzwyczaj uroczo, jako obfitujące w zboże i sesamé (roślina olejna), z licznemi stadami bydła, pasącemi się na żyżnych łąkach, dodając przytem, że wysłane szpiegi w tamte okolice, powróciły z wiadomością, że ziarno było już sprzątnięte, i znajdowało się w śpichlerzach, żołnierze zatem nie będą potrzebowali męczyć się zbieraniem, podczas gdy oni zgromadziwszy wszystkie kobiety, wszystkie zapasy przeniosą nam do Gondokoro. Jednocześnie wystawiając mi szejka Lokko jako bardzo możnego, radzili użyć całej siły, do zaatakowania jego ludności, co tem łatwiej mogę uczynić, że tylko małą załogę potrzebuję zostawić w obozie, ponieważ jesteśmy dobrymi przyjaciółmi.

To łaskawe zajmowanie się szczegółami moich rozporządzeń militarnych, utwierdziło we mnie rodzące się podejrzenie. Chciano więc odwieść znaczną część mego wojska w dalekie strony z mniemanymi sprzymierzeńcami, by po ukończonym napadzie, wracający ze znacznym łupem do domu oddział, obskoczyć z nienacka, i zabrawszy zajęte bydło wszystkich wymordować. Obóz tymczasem nie zabezpieczony i z małą załogą, łatwo by się dostał w ręce Belinian. Był to plan bardzo zgrabnie ułożony, na który pozornie niby się zgadzałem, wyrażając jednak moje niedowierzanie, co do rzeczywistego dotrzymania przyrzeczenia względem przeniesienia zboża z Lokko do Gondokoro. Na moje powątpiewania odparli ponawiając z całą emfazą solenne przyrzeczenia, które przyjąwszy w dobrej wierze zaproponowałem, by dając mi rękojmię dotrzymania obietnic, przynieśli wpierw kilkaset szefli ziarna z Belinian do mojej głównej kwatery, a ja wynagrodziwszy ich za fatygę, uwierzę wtedy bezwarunkowo w szczerość ich zamiarów.

Po długich korowodach obiecali wreszcie zająć się przeniesieniem zboża do Gondokoro, zanim się wybierzemy na wyprawę do Lokko, lecz już wtenczas widziałem, po tonie ich obietnic, że najmniejszej nie mają intencji uiścić się z danego słowa; widocznie zmiarkowali, że uknuta zręcznie zdrada została przeniknioną, i my nie damy się złowić w zasadzkę.

Mimo, że Afrykanie mają przeważnie charakter krętacki i podstępny, nie posiadają jednak dość silnej woli i wytrwałości, aby obmyślony zamiar przeprowadzić. Belinianie naprzykład, dążąc cierpliwie do celu, powinni byli dostawić nasz zapas ziarna do Gondokoro, aby pozyskać tym sposobem zaufanie, lecz oni podobni do złego gracza w szachy, myślą tylko o początkowych posunięciach, pozostając bez sposobu wyjścia za pierwszem skrzyżowaniem ich zamiarów. W dłu-gich moich stosunkach z afrykańskimi murzynami zawsze uważałem ten sam brak logicznego przeprowadzenia wszelkich zamiarów.

W rzeczywistości nie miałem żadnego zamiaru niepokojenia ludności w Lokko, nie doznawszy od nich najmniejszej przykrości, a chociaż należeli i oni do plemienia Bari, zachowywali się jednak zawsze przyjaźnie względem austrjackich misjonarzy, za co zasłużyli sobie u mnie na poważanie. Byli przytem nie o szesnaście lecz o trzydzieści mil oddaleni od gór Belinian, nad brzegiem białego Nilu, a szejk ich znany był handlarzom niewolników pod imieniem Oom Nickla.

Od dnia, w którym Belinianie postrzegli, że zdradzieckie ich zamiary zostały odkryte, nie powrócili więcej do mnie, lecz ukrywając się w różnych miejscowościach, czekali cierpliwie nadarzającej się sposobności, aby zamordować jakiego nierozważnie wydalonego z obozu człowieka.

Jeden z wioślarzy zapuściwszy się raz bez broni za dziko rosnącym tymiankiem, mimo że wydalanie się po za obręb obozu surowo było zakazane, ujrzał idącego ku sobie krajowca, który przyjaznem odezwał się do niego pozdrowieniem: „Adotto julio.“ Nie spodziewając się zdrady, wioślarz zbliżył się do niego, lecz w tej chwili wymierzona strzała, z taką siłą przeszyła mu ramię, że większa jej połowa znalazła się na drugiej stronie. Krzyk jego przywołał kilku żołnierzy z obozu, lecz Barysa już nie było. Tego samego dnia, dwie kobiety wydaliwszy się po wodę, zostały napadnięte, i w mgnieniu oka odarte z odzieży przez krajowców, którzy uciekli bez śladu ze zdobyczą, pozostawiając przestraszone niewiasty w stroju natury. Luźne takie napady powtarzały się bezustannie, i kilku już ludzi straciłem w ten zdradziecki sposób. Z podstępnem plemieniem Barysów nie ma punktu wyjścia; żadna ugoda, żadne dobrodziejstwo nie zdoła ich powstrzymać od naturalnego popędu do zdrady. Jak skoro zobaczyłem gdzie zbierających się w pobliżu mieszkańców, niezwłocznie zwołując odgłosem trąbki moich żołnierzy, wypierałem ich z naszego sąsiedztwa, lecz oczyścić z nich okolicę byłoby to samo, co oczyścić Afrykę ze ślimaków; nigdzie ich prawie nie widać, a są wszędzie ukryci, to w krzaku, to w zbożu, lub nawet za kępą trawy przyczajeni jak zając pod miedzą. System takich zasadzek ogólnie używany przez Barysów, zrodził niepospolitą obawę między naszymi ludźmi, którzy dopiero teraz zaczęli oceniać słuszność surowego zakazu wydalania się z obozu.

W końcu postanowiłem rozprawić się z nimi ich własną bronią, i kiedy uporczywie rozstawiali zasadzki, ja również umyśliłem zabawić się z nimi w zasadzkę. Zwoławszy więc wszystkich ludzi z pułku „Czterdziestu,“ którzy zawsze każde zlecenie wykonywali z wielką gorliwością, wyłożyłem im trudność zwalczenia nieprzyjaciela, którego taktyka polega na unikaniu bitwy; trzeba więc szukać innego sposobu, mianowicie idąc za ich przykładem, należy rozrzucić pojedyncze zasadzki, żeby ustawicznem i niewidzialnem dokuczaniem wystraszyć ich z naszego pobliża.

Korpus moich „Czterdziestu“ był teraz w komplecie, tych bowiem co zostali w Gondokoro także przyprowadziłem; miałem zatem 48 ludzi włącznie z oficerami, do których jeszcze przydzieliłem najlepszych pięćdziesięciu żołnierzy linjowych, i w takiej sile wyszedłem z obozu.

Rzeka wijąca się w niejakiej odległości miała nam służyć za punkt naszych operacji. Brzegi jej w wielu miejscach były wysokie na dziesięć stóp i prawie prostopadłe; dołem sączył się płytki strumień, na przestrzeni siedmdziesięciu kroków szerokiego koryta rzeki. Tem to wijącem się korytem, pod osłoną wysokiego brzegu, puszczali się krajowcy, podsuwając się niepostrzeżenie pod nasz obóz, i w tych to wycieczkach chciałem im przeszkodzić, rozstawiając brzegiem rzeki, na kilka mil wzdłuż gęste zasadzki, z ukrytych w durze lub w zaroślach żołnierzy. Obszedłszy pozycje, wyznaczyłem placówki, wydając rozkaz, by na drugi dzień rano każdy udał się na wyznaczone mu miejsce, po dwóch razem, jeżeli z bronią odtylcową, a po trzech jeżeli ze zwykłą. Jednocześnie komendanci dalszych dwóch zagród odebrali polecenie, aby w taki sam sposób użyli sił swoich, na całej przestrzeni okalającej nasz obóz. Tak więc nie było wolnego przesmyka, którym by krajowcy mogli się przemknąć, nie natrafiwszy na zasadzkę.

Jak tylko dnieć zaczęło, siedziałem już, pijąc według zwyczaju kawę i paląc fajkę. O kilka kroków od parkanu zagrody wznosiło się cudnej piękności drzewo *Tamaryndy*, jakiego nie zdarzyło mi się więcej widzieć; pod jego osłoną był rozpięty namiot mojej żony w miejscu, z którego odsłaniał się przed nami szeroki widok na całą okolicę. Ze strony zachodniej ciągnęła się na dwie mile wzdłuż dolina zakończona ostro rysującemi się górami Belinian, ku wschodowi roztaczał się najpiękniejszy krajobraz, bogato ustrojony we wspaniałe okazy olbrzymich drzew, pomiędzy któremi w głębokiej rozpadlinie, wijąc się zygzakami płynęła spokojna jak teraz rzeka. Ogólna cisza panowała w tej rannej godzinie, słońce jeszcze nie weszło, tylko jaśniejąca purpura na wschodzie, oznajmiała nam bliskie jego ukazanie. Zbudzone ptaszęta rozpoczynały śpiew poranny, a sępy wzbijając się ociężale, poczęły wolno krążyć szukając dla siebie pożywienia. Ogólny spokój panował nad tym ślicznym krajobrazem, kąpiącym się w rannej rosie, który oddychał samą swobodą i wolnością, jakby w swem łonie, pod osłoną bujnej wegetacji nie krył setek ludzi czyhających z bronią w ręku na życie swoich bliźnich. (C. d. n.)

OPRYSZEK.

Obrazek z życia Pokuckich Górali

przez

MARJĘ B.

(Ciąg dalszy.)

Dymitr powstał i odrzucił włosy,
Co mu spadły na czoło w pierścienie;
Z piersi jego głębokie westchnienie
Ciężką skargą rwało się w niebiosy.
Było ono jak ów gołąb biały —
Lecz skalany... ze skrzydły krwawemi,
Co z błaganiem ku Bogu leciały —
Lecz je boleść przybiła do ziemi!
I powolnym przybliżył się krokiem
Ku gromadzce swoich towarzyszy,
Co ciekawym patrzyli nań wzrokiem,
Niczem głuchej niezmącając ciszy.

„— Bądźcie zdrowi!“ — rzekł do nich ponuro,
„— Na dni kilka opuścić was muszę...
W długą drogę natychmiast wyruszę,
Co się skończy aż pod Czarną górą.

Wkrótce wrócę, ale jestem chory —
Potrzebuję leków i spokoju...
Powstrzymajcie się aż do tej pory
Od rabunków, gwałtów i rozboju!"
Tu, jak gdyby mową się wysilił,
Gdy nań z dziwnym patrzyli uśmiechem,
Chwycił czarkę, do dna ją wychylił,
I oddalił się od nich z pospiechem.

Czarna góra w dumnym majestacie
Sięga czołem do stropów błękitu,
W tajemniczej owinięta szacie,
Bielą śniegów okryta u szczytu;
I królując uroczej krainie
W macierzyńskie tuli ją ramiona;
U podnóża jej rzeka spieniona
W dwa strumienie rozdzielona płynie.
Góry w koło kamienny mur wzniosły
Jakby dzieląc od świata na wieki;
Na nich w lasy dziewicze wyrosły
Białe brzozy — modrzewie — smereki.
Śpiewy ptasząt i bujna roślinność,
I ziół z wiatrem wznoszące się wonie,
I poranna natury niewinność
Czarodziejskim oddechem tu wionie!
Często rankiem, pod skał tych sklepienia,
Czarownice zbierać zioła biegą;
Duchy skarbów zaklętych tu strzegą,
Z których nocą bucha żar płomienia.
I Dobosza fantastyczne dzieje
Drzemią w koło do miejsc tych przyrosłe,
Wiatr je szepce — co z zachodu wieje —
I wód szmery.. i bory wyniosłe...
Może o nich dumał Dymitr młody,
Kiedy usiadł z pochyloną głową
Po nad brzegiem rozszalałej wody,
Co w pierś lądu biła granitową,
Był samotny — samotny dokoła...
Pierś wolniejszym wzniosła się oddechem,
Lecz zaduma nie pierzchła mu z czoła
Blade lica nie błysły uśmiechem!
O czem marzył? Może nad nim śmiały
Duch opryszka płynął w mgle wieczoru,
Może krwawej zazdrościł mu chwały
Postać jego śniąc wśród tego boru?!
Nie! on pierwsze wspominał marzenia —
Pierwsze jasne szlachetne pojęcia!
Które zgniotła ręką przeznaczenia
Ciężkim gromem godząc w pierś chłopięcia!
Dalsze życie wzgardzone — tułacze —
Długo sercem niesione zbolałem
Wszystkie walki.. zawody... rozpacze —
Zakończone — dzikim zemsty szałem!
I pochylił nad wodą twarz zbladłą...
Ale oto — jak Anioł litości —
Jakieś jasne, niebieskie widziadło
Z wód wytryska w strumieniu światłości...
Biała szata tę postać owiewa,
Złote włosy blask sieją na lica.
Łza współczucia źrenice zalewa
Promień wiary... oblicze rozświeca!
Długo patrzył w nią Dymitr wzruszony.
Jak spogląda spragniony do zdroju,
Wreszcie zerwał się drżący, szalony,
I popędził... Czy szukać spokoju?

Przyczepiona do ściany skalistej
Mała chatka w zaroślach bieleje;
Z jej okienek miga blask ognisty
Jak ów ognik co na bagnach tleje.
W koło czarny zakrył ją jałowiec
Puszczyk jęki rozwodzi posępne —
Któż w tej głuchej samotni przybywa?
Kto tu obrał spokojny grobowiec?
Albo może ta chatka ukrywa
Jakie życie złamane — występne?
Może...
Dymitr uchylił drzwi zcicha,
Stanął w progu niepewny — strwożony —
Ciemna była izdebka i licha.
Na kominie ogień rozłożony
Sycząc, objął kociołek miedziany,
W którym wrzące warzyły się płyny;
Ni obrazu, ni krzyża u ściany,
Tylko schnące splecione rośliny.
Przy ognisku siedziała kobieta
Zadumana, z wzrokiem obłąkanym,
Twarz jej dłutem starości poryta,
Głowa z włosem zsiwiałym, rozwianym.
Zwiędłe usta pocichu szeptały
Tajemnicze bez związku wyrazy.
A u nóg jej kot czarny, wspaniały,
Dziko źrenic roziskrzył topazy.
Młodzian zadrżał; niepojęta siła
Wstecz rzuciła go od tej kobiety;
Ale ona już w niego utkwiła
Przejmujące swych spojrzeń sztylety...
Więc się schylił na ławę przybity,
Walkę w głębi staczając morderczą...

Dziwnie, strasznie, przeciągle, szyderczo,
Jak dźwięk kości o puhar rozbity,
Roześmiało się widmo niewieście.
„— No, odwagi! mój chłopcze, odwagi!
Powstań!" — rzekła „— i powiedz nareście,
Czego żądasz od starej Maragi?
Czy ci przyszłe mam losy wywróżyć?
Czyli napój przyrządzić szaleństwa?
Życie czyje na wieki zachmurzyć?
Albo wsączyć truciznę niezgody
W los kochanków, lub w spokój małżeństwa?
Ja niewielkiej wymagam nagrody,
Powiedz śmiało mój złoty sokole?"
„— Milcz kobieto!" — zawołał młodzieniec,
Pot mu zimny wystąpił na czole,
A na licu gorączki rumieniec.
„—Do twych zwykłych nie należę gości!
Kocham! kocham miłością bez granic,
Świat, i życie i wszystko mi za nic,
Prócz tej jednej, tej zgubnej miłości!
Lecz ta miłość ta rozpacz, daremną!
Jam Opryszkiem, wieśniakiem, sierotą,
Ona panią w wielkim dumnym dworze!
Gdy ją możesz uczynić wzajemną
Czarownico! moje srebro, złoto,
Wszystko wszystko — u nóg twoich złożę!"

Umilkł — uczuć znękany wybuchem.
Ona w ogień patrzyła w milczeniu
Gdzieś daleko błąkając się duchem,
Aż wyrzekła w złowieszczem natchnieniu;
„— Poco czarów? ja przyszłość odgadnę...
Czary próżne — daremną przestroga!
Dziwnie losy sprzyjają ci zdradne,
Nad otchłani brzeg wabiąc kwiecisty.
Jeden promień zaświeci ci czysty —
A po za nim... długa... ciemna droga!
Idź mój synu! — losy są niezmienne,
Nieubłaganą władza przeznaczenia —
Lecz się spełnią twoje sny promienne —
I najśmielsze — zuchwałe marzenia!"

* * *

Noc. Snów lekkie sieje puchy
Cichy wonny wiatr majowy;
W srebrnej łódce księżycowej
Tajemnicze płyną duchy.
Pruszy śnieżny kwiat strzęsiony
Z grusz, czereśni i jabłoni,
I wodospad uperlony
W skalny granit zcicha dzwoni.
Czasem w cieniach jak płomyki
Świętojańskie muszki błysną;
Lub w anielski chór słowiki
Z tkliwej piersi pieśń wycisną.
I znów cisza.. rajskiej nocy!
Jakby kryła płaszczem cudów
Jakiś naród świętych ludów!
Co spokojny śni jak dziecko.
Na zgrzyt nędzy, płacz sierocy,
Zawiedzionych uczuć jęki,
Zbrodnię krwawą, myśl zdradziecką,
Obok szczęścia i piosenki.

W lesie ognie pogaszono.
We śnie twardym, w głuchej ciszy
Spoczywało całe grono
Dzikich Dmytra towarzyszy.
Jeden tylko w oddaleniu
Na odłamie ostrej skały
Głowę wsparłszy na ramieniu
Czuwał — starzec osiwiały.
Przed nim cicha, jasna, śpiąca,
Orzucona blaskiem cała,
Spoczywała postać biała...
Na jej twarzy łza błyszcząca
Drżała w perlę skrysztalona;
Łza, co w sobie dowód mieści.
Że wśród płaczu i boleści
Sen ją ujął w swe ramiona.
Zkąd w tych miejscach sama jedna
Ta lilija nad otchłanią?
Starzec z bolem patrzy na nią,
I z westchnieniem szepce: biedna!
Jak usnęła słodko,. błogo...
A gdy liściem wiatr poruszy,
Czy nie przerwał, patrzy z trwogą,
Tej anielskiej spokój duszy?
Mroźnem drżeniem go przejmuje
Myśl, co ranek tu przyniesie,
I z przestrachem nadsłuchuje,
Bo tam kroki słychać w lesie...

Coraz, coraz się zbliżały,
Aż wynurzył się z drzew cienia
Blady, chwiejny i znużony,
Młody Dymitr wódz ich śmiały.
Starzec krzyknął. On w około
Powiódł okiem — i zdumiony
Zastygł w posąg osłupienia...
Przyciskając dłonią czoło,
I bijące silnie łono,
Stał — i godnym był litości,
Gdy w dziewicy twarz uśpioną,
Tak szalonem patrzył okiem
Szczęścia, bolu, i miłości...
Aż bezsilny siadł na skale,
Aż wzburzonych uczuć fale
Wypłynęły łez potokiem!

„— Mów, Wasylu! mów na Boga!
Zkąd tu ona? pośród boru?"
Dłoń mu cisnąc szeptał drżący.
„— Jakaż przemoc, dzikość sroga.
Z rodzinnego śmiała dworu
Porwać kwiat ten jaśniejący,
Co śni tutaj... we łzach cały?!
Mów! nie będę ci przerywać
Bo się lękam odgadywać...
Któż, kto mógł być tak zuchwały?!"

„— Cicho.. cicho... milcz szalony!
Nie budź ze snu ukojenia
Tej dzieciny rozżalonej,
Ale braciom nieś podziękę,
Że spełnili twe marzenia
Porywając tę panienkę.
Chcieli wskrzesić w twojej duszy
Zaumarły chart i dzielność —
I twej sławy nieśmiertelność
Którą próżny smutek głuszy.
Wszak im więcej ofiar pada.
Tem ją większy blask otoczy!"
Zamilkł — bo twarz trupio blada
I płonące Dmytra oczy
Takich spojrzeń gromy słały,
Że się cofnął z przerażeniem,
Gdy z szlachetnem oburzeniem
Krzyknął młodzian drżący cały:
„— Jakto?! dla mnie i przezemnie
Pochwycili biedne dziecię!
Więc zdradzili ufność skrycie,
Więc schańbili mnie nikczemnie?!
O! choć nie raz w krew, płomienie,
Szały zemsty mnie powiodły,
Dla bezbronnych mam sumienie!
Dymitr nigdy nie był podły!
Gdyby miłość tej dziewicy
Choć na krótką mogła chwilę
W mego życia spłynąć ciemność, —
Jabym w twardej włosiennicy
I w pokutnym umarł pyle,
Ale zmuszać... to nikczemność!
Precz mi z oczu! — dla tej winy
Nie znam kary dosyć twardej,
Masz zjadliwy wzrok gadziny
Lecz go depcę — okiem wzgardy!"

(C. d. n.)

IDEALIŚCI,

POWIEŚĆ

JANA LAMA.

(Ciąg dalszy.)

Tom II.

Rozdział II.

P. Skryptowicz przybył nazajutrz do Rymiszowa w podwójnej misji. Postanowił był rozmówić się z p. Zameckim o tem, co począć z Helenką, której melancholję miał na swojem sumieniu, i rozmówić się z p. Zamecką o odkryciach, które poczynił był przypadkiem za pośrednictwem p. Tetrzyckiego. Dowiedział się na samym wstępie, że p. Tadeusz zaledwie wstał z łóżka po kilkodniowej słabości, i że teraz dopiero oddano mu jego list, donoszący lakonicznie o serdecznych cierpieniach Helenki i o wszystkich wynikach tych cierpień.

— W kimże się kocha ta mała? zapytał p. Zamecki.

— W wychowanku twojego proboszcza, Wacławie Rolińskim.

— No, wielkie rzeczy! Jeżeli się kochają, niech się pobiorą, i koniec.

— Ba, właśnie że nie tak łatwo o ten koniec, jak sądzisz. — Tu p. Karol opowiedział p. Tadeuszowi przebieg i skutek niezręcznej swojej interwencji w sprawy zakochanych młodych ludzi.

— Hm, to w istocie fatalna historja, odparł p. Zamecki. Chłopak zdaje się być charakteru nieugiętego i posiada bardzo wiele poczucia godności własnej. Jest tylko jeden sposób: sprowadzić Helenkę tutaj, a jeżeli młodzież sama nie porozumie się pomiędzy sobą, to my starzy nic nie poradzimy. Mógłbym wprawdzie pomówić wprost z młodym Rolińskim, ale nie podobna przecież, bym mu się oświadczał w imieniu Helenki. Dlatego też, pojadę z tobą jutro, i przywiozę ją tutaj, a Rolińskiemu polecę założenie tartaku parowego, albo młyna parowego, albo czegokolwiek innnego pędzonego parą, ażeby go zatrzymać w Rymiszowie.

— Jednakże, czy sądzisz, że przyszedł czas pokazywać Helenkę?...

— Nie wiem. Matka jej wydaje mi się od kilku tygodni szczególnie niespokojną... jakby jej coś bardzo ciężyło na sercu. Kryje się z tem przedemną i stara się być swobodną i wesołą, ale znam ją zbyt dawno, bym jej nie miał przeniknąć. Zdaje się iż walczy z sobą, i że nie może zdecydować się na wyznanie, którego tak pragnę. Kto wie, czy obecność Helenki nie ułatwi jej tego. Już samo uderzające podobieństwo rysów, jakie zachodzi między niemi, powinnoby naprowadzić ją na domysł, kim jest moja takzwana wychowanka, i że mogę wiedzieć o wszystkiem.

— Najprostszą rzeczą byłoby, gdybyś jej sam powiedział, co wiesz.

— Mówiłem ci nieraz, że nie zrobię tego, chyba w ostatecznym razie. Nie chcę jej dawać córki, o którą nie dba, chcę jej zwrócić dziecko, za którem zatęskni. Nie chcę jej przypominać obowiązków jej naturalnych, i zmuszać ją niejako do ich wypełnienia, ale gdy się sama do nich poczuwać będzie, pragnę jej w tem dopomódz. W takim wypadku tylko, mogę liczyć na jej wdzięczność, i osiągnąć cel od tylu lat upragniony. Wszak będzie to jedyne głębsze uczucie, które przywiąże ją do mnie! — dodał z westchnieniem.

— Wzdychasz tak, jakbyś się żalił.

— Nie, nie żalę się. Mam to, czegom chciał, i więcej nawet. Helena jest dla mnie od ośmiu lat dobrą, powiem, wzorową żoną. Dotychczas, najmniejsza chmurka nie zaćmiła dobrych między nami stosunków. Nie dokuczyliśmy sobie żadnym napadem kwaśnego humoru, a jeżeliśmy miewali kaprysy, ustępowaliśmy sobie nawzajem z łatwością i ochotą. Jej wesołe usposobienie i swobodne zachowanie się wprowadziło w mój dom ten ton, który lubię w mojem otoczeniu, i którego brak daje się często czuć bardzo dotkliwie tam, gdzie się ludzie najserdeczniej kochają. Życie nie może być ciągłym dramatem miłośnym, jednem pasmem zachwytów i bolów, zazdrośnych podejrzeń, sentymentalnych wyrzutów i słodkich przeprosin. Dobrze ktoś powiedział, że nadto kochająca żona może stać się za wielkim ciężarem na barki jednego człowieka, jeżeli nie umie okazywać tej miłości w ważniejszych jedynie rzeczach, a być obojętną w pomniejszych. Wszystko to jest prawdą, której doświadczyłem w życiu, ale niemniej też prawdą jest, że Helena mnie nie kocha. Dla tego też pragnę przykuć ją do siebie silniejszym jakim węzłem. Jest to, jak widzisz, plan obmyślamy na podstawach bardzo pozytywnych.

— Niewątpliwie.

— I powiedz-że teraz, mój Karolu, czy nie jest to istnem prześladowaniem ze strony zawistnego losu, że my ludzie pozytywni mamy właśnie tyle kłopotów z cudzemi ideałami. Najpierw, ja i ty, mamy na naszej głowie Helenkę i Rolińskiego. Następnie, ja i Helena, nie wiemy co począć z Wandzią i tym jej Adonisem, Zgorzelskim...

— Ja wam poradzę, co macie począć. Każcie spuścić psy zamkowe z łańcuchów, skoro się pokaże na dziedzińcu p. Zgorzelski, i nie odwołujcie ich póty, póki nie będzie w drodze do Kruchówki.

— Cóż ty masz przeciw p. Zgorzelskiemu?

— Ja? Nic, — odparł p. Skryptowicz, namyśliwszy się trochę, co odpowiedzieć Tadeuszowi. Nic zgoła. Sądzę wszelako, że p. Zgorzelski będzie miał nieco przeciwko mnie, a to z powodu, iż wypędziłem go wczoraj z mojego pokoju przez okno. Wyobraź sobie, wracał rano z jakiejś *partie fine* z różnymi podobnymi sobie paniczami, i spotkawszy moje córki wraz z Helenką wracające z kościoła, ścigał je w sposób impertynencki aż do moich sieni. Nie dość na tem, po południu z największą bezczelnością zrobił mi wizytę... Był u mnie przypadkiem Tetrzycki, i w dwóch, zmusiliśmy go do retyrady przez okno.

— Starzy hałaburdnicy! No, ale to będzie piękna historja, jeżeli Zgorzelski pojawi się tutaj po przybyciu Helenki. Spodziewam się, że zemknie, choć nie każę spuścić psów z łańcucha. Helenka oczywiście zaprzyjaźni się z Wandzią i opowie jej wszystko. Co to będzie, co to będzie!

— Daję ci gardło, że Zgorzelski nie zemknie. Bezczelność jego nie ma granic. Radziłbym ci na serjo, ażebyś mu zakazał bywać w Rymiszowie.

— Wiem, co zrobię. Posłucham żony, i rozmówię się z nim kategorycznie co do jego zamiarów względem Wandy. Mamy na to upoważnienie ze strony p. Trzecieszczakiewiczowej, od której wczoraj Helena odebrała list lamentujący. Nie uwierzysz, jak Helena nie cierpi tego Zgorzelskiego.

— Hm, nie cierpi go, powiadasz?

— Do tego stopnia, że muszę go nieraz sam brać w obronę. Nasłuchasz się zresztą ciekawych dysput w tej mierze, jeżeli zostaniesz u nas do jutra. *A propos*, kochany Karolu, Helena jest teraz w ogrodzie. Zrobiłbyś mi wielką przysługę, gdybyś poszedł pomówić z nią i przygotować ją na przyjazd Helenki. Wiesz, co jej opowiadałem o tej małej, trzymaj się tej wersji. Rodzice jej zginęli podczas rzezi tarnowskiej, pamiętaj. Ty wziąłeś ją do swego domu, a ja zazdroszcząc ci sposobności wykonania dobrego uczynku, przyłączyłem się do kosztów jej wychowania i wyposażyłem ją, mam nawet zamiar adoptować ją, jeżeli Helena nie będzie miała nic przeciw temu. Obecnie dziewczyna jest zakochaną, opowiedz to wszystko, co mi mówiłeś przed chwilą, i poleć Helenie losy kochanków. Po takiem przygotowaniu, sprowadzenie Helenki do Rymiszowa wyda się naturalniejszem.

— Pan hrabia Rozumowski — zaanonsował w tej chwili kamerdyner Wincenty.

— Zaraz służę. To się wybornie złożyło, Karolu. Unikając niby widzenia się z tym szlachetnym lordem, nie popadniesz w podejrzenie, że ja cię wysłałem. Idź-że do ogrodu.

Pan Karol zastał panią Helenę obok cieplarni w rozmowie z żoną ogrodnika, która miała na ręku małe dziecię, wyglądające bardzo mizernie, bo przebyło było właśnie jakąś ciężką, dziecięcą chorobę. Panna Wanda i pani Zamecka na przemian pieściły to małe stworzenie, które wyciągało do nich wychudłe swoje rączęta i uśmiechało się tak łagodnie i boleśnie, jak uśmiecha się tylko schorzała dziecina. Pani Zamecka obierała pomarańczę i dawała ją dziecięciu po kawałku, podczas gdy matka jego ze łzami w oczach opowiadała, że gdyby nie „jaśnie pani,“ która sprowadziła lekarza, dziecko nie byłoby wyszło z choroby. Teraz już się śmieje, i trzyma główkę prosto, a przedtem było takie, takie biedne, i zdawało się gasnąć z każdą chwilą. I niechaj Bóg nagrodzi „jasną panię“ stokrotnie za jej dobre serce, i niechaj jej także da dzieci, ażeby doznała, jakie to szczęście być matką. Panna Wanda płakała, a pani Helena wpajała ogrodniczce w pamięć przepisy dr. Chimerskiego i zalecała jej jak najskrupulatniejsze ich zachowanie, ażeby maleńkiego pacjenta ochronić od recydywy. W tej chwili nadszedł p. Karol i przypatrzywszy się pięknej tej scenie, zagadnął:

— Nie wiedziałem, Helenko, że ty tak lubisz dzieci!

— O, niezmiernie! Muszę ci się nawet pochwalić, że wraz z Tadeuszem założyliśmy ochronkę dla sierot z jego majątków. Pokażę ci ją, jeżeli zechcesz.

— Dziękuję ci. W tej chwili mam dużo kłopotu z moim własnym drobiazgiem, a już to, moja kochana, jakkolwiek wszystkie dzieci są bardzo lubemi stworzeńkami, to swoje zawsze najmilsze sercu. Oto widzisz, chciałem prosić cię o radę i pomoc w moich kłopotach, i jeżeli pozwolisz mi moment posłuchania, i jeżeli panna Wanda nie wezmie mi tego za złe....

— Służę ci — odparła p. Zamecka, odchodząc z Karolem w aleę ogrodową, podczas gdy panna Wanda, powiedziawszy: „Bardzo proszę,“ została z ogrodniczką.

P. Skryptowicz trzymał się dokładnie instrukcji p. Tadeusza i według niej opowiedział p. Zameckiej swoje kłopoty z Helenką.

— A, więc to jest owa tajemnicza wychowanka, o której słyszę od tylu lat, i której nigdy

nie widziałam! Sieróta z czasów rzezi tarnowskiej, powiadasz?

— Rodzice jej i krewni padli ofiarą rozbestwionego motłochu, podczas gdy ją ocaliła i chowała czas jakiś przywiązana piastunka. Ale gdybyś ją widziała, nie wspominaj jej o tem, ukrywaliśmy przed nią dotychczas jej pochodzenie. Tego rodzaju tragiczne wspomnienia lepiej jeżeli nie zatruwają młodej duszy goryczą.

— Bardzo słusznie postąpiliście. Cóż okropniejszego, jak stracić rodziców w ten sposób!

— O, są jeszcze okropniejsze sposoby, dzięki którym nie miewa się rodziców. Ale nie o tem mowa. Co sądzisz o moim projekcie, sprowadzenia Helenki tutaj, dokąd uciekł jej najmilszy?

— To... wcale nie zła myśl — odparła pani Helena, zamyśliwszy się głęboko. — Czy więcej nie miałeś mi nic do powiedzenia?

(C. d. n.)

Tajemnicza Wyspa

przez

JULJUSZA VERNE

przełożył z francuskiego J. Pł...

Rozdział XVII.

(Ciąg dalszy).

(Wycieczka do jeziora. — Prąd wody przewodnikiem. — Projekta Cyrusa Smitha. — Tłuszcz „dugonga.“ — Użytek z pirytów szysztowych. — Siarczan żelaza. — Jak się przyrządza glycerynę? — Mydło. — Saletra. — Kwas siarczany. — Kwas azotowy. — Nowy wodospad.)

Nazajutrz, dnia 7. maja, Cyrus Smith i Gedeon Spilett, zostawiwszy Naba zajętego gotowaniem śniadania, wyszli na Wielką Terasę, podczas gdy Harbert z Pencroffem, puścili się od ujścia rzeki w górę, ażeby zebrać nowy zapas paliwa.

Inżynier z korespondentem przybyli niebawem do owej małej mielizny na południowej kończynie jeziora, gdzie ciało potwora zostało wyrzucone. Gromady ptactwa obsiadły już były tę górę cielska i trzeba je było spędzać kamieniami. Cyrus Smith bowiem chciał zachować tłuszcz z „dugonga“ i zużytkować go na potrzeby osady. Także i mięso zwierzęcia powinno było dać wyborne jadło, w niektórych bowiem okolicach Malaji używane bywa wyłącznie tylko do stołów książąt panujących zamieszkałym tamże plemionom. Lecz to należało do Naba.

Cyrusowi w tej chwili inne myśli krążyły po głowie. Zdarzenie dnia wczorajszego utkwiło mu głęboko w pamięci, i nieustannie zaprzątało jego myśli. Radby był przeniknąć tajemnicę owej walki podwodnej i przekonać się co za potwór z rodzaju „mastodontów“ lub innego jakiego, zadał „dugongowi“ tak straszliwą a dziwnego rodzaju ranę.

Stał więc nad brzegiem jeziora, spoglądając uważnie do koła i przypatrując się bacznie powierzchni wody, spokojnej i gładkiej, połyskującej w porannych promieniach słońca.

Na mieliźnie, gdzie leżało ciało „dugonga“ woda była dość płytką, lecz idąc od tego miejsca dalej dno jeziora zagłębiało się coraz bardziej i prawdopodobnie na samym środku głębia musiała być znaczną. Można było uważać to jezioro za rodzaj olbrzymiego rezerwoaru napełnionego wodą z Czerwonego Potoku.

— A zatem, mój Cyrusie — zagadnął korespondent — nie ma, zdaje mi się, w tej wodzie nic podejrzanego?

— W istocie nic, kochany Spilett — odparł inżynier — i nie wiem doprawdy, jak sobie wytłumaczyć wczorajsze zdarzenie?

— Przyznaję sam — ciągnął dalej Gedeon Spilett — że rana, jaką otrzymał potwór, jest co najmniej zadziwiającą. Nie potrafiłbym niemniej wytłumaczyć, co było powodem, że Top z taką siłą wyrzucony został ponad wodę? Zdawałoby się w istocie, że to jakaś ręka potężna wyrzuciła go na wierzch, i że ta sama ręka uzbrojona sztyletem zadała następnie śmierć „dugongowi!“

— Tak jest — odparł inżynier zamyślony. Jest w tem coś, czego w żaden sposób zrozumieć nie mogę. Lecz czyż zrozumialszem jest dla ciebie, kochany Spilett, i to jakim sposobem ja sam zostałem ocalony, wydobyty z fal morskich i przeniesiony pomiędzy wydmy? Prawda, że nie? Otóż i w tem widzę jakąś tajemnicę, która niezawodnie kiedyś się nam odkryje. Zaostrzmy więc naszą baczność, lecz nie wspominajmy więcej przed naszymi towarzyszami o wczorajszem zdarzeniu. Spostrzeżenia nasze zachowajmy dla siebie i nie ustawajmy w naszem przedsięwzięciu.

Inżynier, jak wiemy, nie odkrył dotychczas jeszcze miejsca, którem woda odpływała z jeziora, a ponieważ nie było nigdzie śladu wylewów, musiał zatem koniecznie istnieć gdzieś odpływ wody. Nie mało więc zdziwionym był Cyrus Smith, zauważywszy w tem miejscu dość wyraźnie objawiający się prąd wody. Wrzucił kilka trzasek do wody i przekonał się, że trzaski popłynęły ku kończynie południowej. Podążył więc wzdłuż brzegu w ślad za tym prądem i przybył do południowego krańca jeziora.

Tu powierzchnia jeziora zdradzała pewną wklęsłość, jak gdyby woda w tem miejscu wartkim strumieniem odpływała przez szczelinę ukrytą w ziemi.

Cyrus Smith przyłożywszy ucho do powierzchni wody, usłyszał wyraźnie jakby szum podziemnej kaskady.

— W tem miejscu — rzekł wpatrując się — istnieje upust wody, tędy niezawodnie woda podziemnym kanałem wyżłobionym w granicie odpływa do morza, przez wydrążenie, które potrafimy zużytkować na naszą korzyść! Zresztą, przekonamy się zaraz!

Inżynier wyciął długą gałęź, ogołocił ją z liści i zanurzywszy ją w wodę w samym rogu między obydwoma brzegami, natrafił na szeroki otwór, położony tylko na jedną stopę pod powierzchnią wody. Był to otwór tego upustu, którego napróżno dotąd szukał inżynier, a prąd wody był tak silny, że wydarł gałęź z rąk Cyrusa i pochłonął ją w swych nurtach.

— Teraz nie ma już żadnej wątpliwości — powtórzył Cyrus Smith. — W tem miejscu jest upust wody, a otwór jego wydobędę na wierzch.

— Jakim sposobem? — zapytał Gedeon Spilett.

— Obniżywszy powierzchnię jeziora na trzy stopy.

— Jakże tego dokażesz?

— Dam wodzie inny odpływ szerszy od tego.

— W jakiem miejscu, Cyrusie?

— Z tej strony, która najbardziej zbliżoną jest do brzegu morza.

— Ale z tej strony są brzegi granitowe! zauważył korespondent.

— A zatem wysadzimy ten granit — odparł Cyrus Smith — tym sposobem woda spadnie i odsłoni ten otwór...

— I spływając ztamtąd na wybrzeże, utworzy silny spad — dodał korespondent.

— Z którego potrafimy skorzystać! — odparł Cyrus. — A teraz chodźmy, chodźmy!

Po tych słowach inżynier pociągnął za sobą swego towarzysza; ten zaś do tego stopnia ufał Cyrusowi, że ani wątpił w powodzenie jego zamiarów. A jednak było to zadanie nie małe, jak wyżłobić otwór w brzegu granitowym, jak porozsadzać te skały, nie posiadając prochu ani wydoskonalonych narzędzi? Czy to przedsięwzięcie, które powziął inżynier, nie przechodziło sił jego?

Cyrus Smith i korespondent powróciwszy do „dymników,“ zastali Harberta i Pencroffa zajętych wyładowywaniem przywiezionego drzewa.

— Drwale już skończyli robotę, panie Cyrus — rzekł śmiejąc się marynarz — a jeżeli potrzeba panu będzie murarzy....

— Murarzy nie, lecz chemików — odparł inżynier.

— Tak jest — dodał korespodent — wysadzimy wyspę w powietrze....

— Wysadzić wyspę! — zawołał Pencroff.

— Przynajmniej część jej! — odparł Gedeon Spilett.

— Chciejcie mnie posłuchać, przyjaciele — rzekł inżynier.

Pokrótce zaznajomił ich z rezultatem swoich spostrzeżeń. Według jego przypuszczenia, musiało w owej masie granitowej tworzącej Wielką Terasę, istnieć mniejsze lub większe wydrążenie, do którego zamierzał dotrzeć. W tym celu należało przedewszystkiem wypróżnić otwór, którym odpływa woda z jeziora, a tem samem obniżyć jego powierzchnię, wydrążywszy nowy odpływ ze szerszym otworem. Z tego wynikała potrzeba przyrządzenia masy eksplodującej, za pomocą której możnaby utworzyć obszerną szluzę na innem miejscu. Tego zaś zamierzał Cyrus Smith dokonać za pomocą kruszców, których mu dostarczała sama przyroda.

Zbytecznem byłoby mówić, z jakim entuzjazmem wszyscy, a szczególnie Pencroff, przyjęli ten projekt. Używać wielkich środków, przewiercać granity, tworzyć wodospady — w to było grać marynarzowi! Ponieważ inżynierowi trzeba było chemików, więc gotów był zostać chemikiem, tak jak gotów był także zostać szewcem lub murarzem. Byłby chętnie był wszystkiem, czemby kto tylko zażądał, nawet, jak się wyraził do Naba „nauczycielem tańców i salonowych manjerów,“ gdyby tego było potrzeba.

Nab z Pencroffem otrzymali przedewszystkiem zlecenie wydobyć tłuszcz z „dugonga“ i przechować jego mięso na kuchnię. Bezzwłocznie więc udali się do swej roboty, nie pytając nawet o wyjaśnienia. Ufność ich do inżyniera nie miała granic.

Wkrótce po nich Cyrus Smith, Harbert i Gedeon Spilett, zabrawszy ze sobą plecionkę, wyruszyli brzegiem rzeki ku pokładom węgla ziemnego, w których znajdowała się wielka ilość pirytu szysztowego. Kruszec ten, którego jeden okaz przyniósł już był ze sobą Cyrus, znajduje się najobficiej w okolicach najświeższej formacji.

Cały dzień minął na nagromadzeniu pewnej ilości tego pirytu do „dymników.“ Pod wieczór posiadali już kilka beczek.

Nazajutrz, dnia 8. maja, rozpoczął inżynier

swe manipulacje. Głównemi składnikami pirytu szysztowego są: węgiel, krzem, a glin i siarczyk żelaza — tego ostatniego jest najwięcej; chodziło o to, ażeby co najrychlej wydzielić z niego siarczyk żelaza i przemienić go w siarkan. Otrzymawszy siarkan, można było wyciągnąć zeń kwas siarczany.

Był to rzeczywiście cel całego dzieła. Kwas siarczany jest pierwiastkiem najbardziej używanym, a stan przemysłu pojedyńczego narodu da się osądzić wedle ilości w jakiej go spotrzebowuje. Kwas ten miał być później osadnikom naszym wielce przydatnym do fabrykacji świec, garbowania skór itp. obecnie jednak potrzebował go inżynier do czego innego.

Cyrus Smith obrał po za „dymnikami“ stosowne miejsce i wygładził w niem ziemię jak najstaranniej. W miejscu tem wystawił stos z gałęzi i zrąbanego drzewa, a na nim poukładał kawałki szystu pirytowego, w kabłąk jeden obok drugiego; następnie calą tę masę pokrył cienką warstwą pirytu potłuczonego na kawałki tej wielkości, co orzech włoski.

Po tych przedwstępnych przygotowaniach podłożono ogień pod drzewo. Żar udzielił się szystowi, a ten zawierając w sobie węgiel i siarkę, roztlił się płomieniem. Wtedy dołożono nowych warstw tłuczonego pirytu, a z wierzchu pokryto cały ten olbrzymi stos ziemią i ziołami, pozostawiwszy tylko kilka otworów dla przeciągu, podobnie jak się postępuje przy zwęglaniu drzewa.

Poczem czekano, aż się przetwór chemiczny dokona, a potrzeba było niemniej jak dziesięciu do dwunastu dni, ażeby siarczyk żelaza przemienił się w siarkan żelaza a glin w siarkan glinu; obydwa te ciała są rozpuszczalne, podczas gdy reszta, mianowicie krzem, węgiel i popiół własności tej nie posiadają.

Podczas gdy dokonywał się ów proces chemiczny, przystąpili Cyrus i towarzysze jego do innych operacyj. Była to z ich strony już nie gorliwość lecz prawdziwa zaciekłość.

Nab i Pencroff zebrali byli tłuszcz z „dugonga“ w duże kadzie z wypalonej ziemi. Szło teraz o to, ażeby z tłuszczu tego za pomocą przemydlenia wydzielić jeden jego składnik, mianowicie glicerynę. Chcąc osiągnąć ten rezultat, dość było wystawić ją na chemiczne działanie sody lub wapna. W samej rzeczy jedna lub druga z tych substancyj oddziaływając na tłuszcz wytworzyłaby z niego mydło, wydzieliwszy równocześnie glycerynę, której właśnie potrzeba było inżynierowi. Wapna, jak wiemy, miał podostatkiem; lecz używszy do tego chemicznego procesu wapna, otrzymałby był mydło wapienne, nierozpuszczalne, a tem samem bezużyteczne, podczas gdy przeciwnie przy współdziałaniu sody powstałoby mydło rozpuszczalne, którego możnaby było użyć do prania bielizny. Owóż jako człek praktyczny powinien był Cyrus Smith postarać się raczej o sodę. A czyż to było tak trudno? Bynajmniej; na brzegach bowiem rosły nader bujnie rośliny morskie: salikorny, fikoidy i inna morszczyzna, do której należały waregi i geömony. Nagromadzili więc wielką ilość tego ziela, wysuszyli je wprzód a następnie spalili w dołach na wolnem powietrzu. Kilka dni trwało to palenie, a żar wzrósł do tego stopnia, że zdawało się, iż stopi popioły. Rezultatem tego spopielenia była masa stała, popielata, znana od dawna pod nazwą „naturalnej sody.“

Dopiąwszy swego zamiaru, wystawił następnie inżynier tłuszcz na działanie sody, skutkiem czego otrzymał z jednej strony mydło rozpuszczalne, a z drugiej strony ową obojętną substancję zwaną glyceryną.

Lecz nie na tem koniec. Cyrusowi potrzeba było, ze względu na przyszłe preparacje, jeszcze innej substancji, mianowicie azotanu potasu, znanego bardziej pod nazwą soli saletrowej czyli saletry.

Cyrus Smith mógł był otrzymać tę substancję, poddając węglan potasu, dający się łatwo wyciągnąć ze spopielonych ciał roślinnych, chemicznemu działaniu kwasu azotowego. Lecz kwasu azotowego nie posiadał, a koniec końców właśnie o ten kwas się rozchodziło. Znajdował się zatem w błędnem kole, z którego nigdy nie byłby wyszedł. Na szczęście sama przyroda przyszła mu w pomoc, dostarczając mu saletry gotowej, tak że tylko ręką po nią sięgnąć potrzebował. Harbert odkrył pokłady jej na północy wyspy, u stóp góry Franklina; trzeba było tylko sól tę oczyścić.

Różnorodne te prace trwały dni ośm. Uwinęli się więc z niemi, zanim jeszcze dokonała się przemiana siarczyka w siarczan żelaza. Resztę czasu użyli osadnicy nasi na ulepienie z przydatnej gliny ogniotrwałych naczyń i na wybudowanie z cegieł piecyka szczególniejszej konstrukcji, mającego służyć do późniejszej dystyllacji siarczanu żelaza. Robota ta ukończoną została dnia 18. maja, mniej więcej o tym samym czasie, kiedy dokonał się przetwór chemiczny. Gedeon Spilett, Harbert, Nab i Pencroff, pod zręcznem kierownictwem inżyniera, wyszli na najbieglejszych robotników w świecie. Konieczność zresztą bywa najlepszą nauczycielką i najwięcej doznającą posłuchu.

Gdy już stos pirytu należycie się wypalił, wówczas cały przetwór chemiczny składający się z siarczanu żelaza, siarczanu ałunu, krzemionki, osadu węglowego i popiołu zesypany został do dużej kadzi napełnionej wodą. Poczem wymięszano go należycie, a gdy się ustał, przecedzono go i otrzymano płyn jasny i czysty, zawierający rozczyn siarczanu żelaza; inne pierwiastki, będąc nierozpuszczalnemi, pozostały w stanie stałym. Wreszcie gdy płyn ten w części się ulotnił, siarczan żelaza osiadł w kryształkach, a resztę płynu nieulotnionego, zawierającego siarczan ałunu wylano.

Cyrus Smith posiadał zatem teraz pewną ilość siarczanu żelaza w stanie skrystalizowanym, chodziło więc tylko o to, ażeby wyciągnąć z niego kwas siarczany.

W praktyce przemysłowej wymaga fabrykacja kwasu siarczanego nader kosztownych przyrządów. Potrzeba do niej obszernych hut, osobnych narzędzi, przyrządów platynowych, izb ołowianych nie podpadających wpływowi kwasu, w których dokonywa się przetwór chemiczny i tp. Inżynier wszystkich tych przyrządów nie posiadał, wiedział jednak o tem, że zwłaszcza w Czechach fabrykuje się kwas siarczany daleko prostszemi środkami, z tą oprócz tego korzyścią, że otrzymuje go się w stanie bardziej skoncentrowanym. Tak wytwarza się kwas zwany pod nazwiskiem kwasu Nordhauzeńskiego.

Ażeby otrzymać kwas siarczany, potrzebował Cyrus wykonać jeszcze tylko jednę operację, a mianowicie: zwapnić skrystalizowany siarczan żelaza w zamkniętem naczyniu, tak ażeby kwas siarczany wyparował, poczem gaz ten zgęściwszy się wydałby kwas.

Do tej właśnie operacji miały służyć naczynia ogniotrwałe, w których umieszczono owe kryształki, i piecyk, którego żar miał spowodować wyparowanie kwasu siarczanego.

Operacja powiodła się wybornie i dnia 20. maja, we dwanaście dni po rozpoczęciu dzieła, znajdował się inżynier w posiadaniu tego pierwiastku, który spodziewał się zużytkować w przyszłości na najrozmaitsze sposoby.

Na cóż więc potrzebował tego czynnika? Oto po prostu na to, ażeby za pomocą jego wytworzyć kwas azotowy, co mu przyszło z łatwością, saletra bowiem pod wpływem kwasu siarczanego dostarczyła mu właśnie tego kwasu za pomocą dystyllacji.

Lecz koniec końców jakiż miał zrobić użytek z tego kwasu azatowego? To dla towarzyszy jego było tajemnicą, inżynier bowiem nie wyjawił im ostatecznego celu swej pracy.

Cyrus jednak dokonał swego zamiaru, a ostatnia operacja dostarczyła mu tej substancji, która tylu rozlicznych wymagała zabiegów.

Złączywszy kwas azotowy z glyceryną, skoncentrowaną wprzód przez zanurzenie naczynia w ciepłej wodzie, otrzymał bez użycia nawet mięszaniny oziębiającej, kilka kieliszków oliwkowatego, żółtawego płynu.

Otatniej tej operacji dokonał Cyrus sam własnoręcznie, na uboczu, zdala od „dymników,“ gdyż zachodziło niebezpieczeństwo eksplozji. A przyniosłszy ze sobą flakonik tego płynu, wyrzekł do przyjaciół swoich tylko te słowa:

— Oto mamy nitro-glycerynę!

Był to w istocie ów wytwór straszliwy, którego moc eksplozyjna jest dziesięćkroć większę od pospolitego prochu i który był już powodem tylu wypadków! Zresztą odkąd wynaleziono sposób przemienienia go w dynamit, t. j. połączenia go z innem ciałem stałem, gliną lub cukrem, dość dziurkowatem ażeby go uwięzić, odtąd użycie tego groźnego płynu nie podlega więcej takiemu niebezpieczeństwu. Lecz w owych czasach, kiedy osadnicy nasi znajdowali się na wyspie Lincolna, nie znano jeszcze dynamitu.

— Więc to ten płyn ma porozsadzać skały? zapytał Pencroff niedowierzająco.

— Tak jest, mój przyjacielu, odparł inżynier, a ta nitroglecyryna działać będzie tem potężniej, ile że granit jest nader twardy i większy opór przeciwstawi sile wybuchu.

— A kiedyż to obaczymy, panie Cyrus?

— Jutro, skoro wydrążymy minę, odparł inżynier.

Nazajutrz, dnia 21 maja, skoro świt udali się nasi minery na wschodni brzeg jeziora Granta, który tworzył róg, oddalony tylko pięćset stóp od wybrzeża. W miejscu tem skalisty brzeg wysterczał prostopadle z wody i jedyną dla niej stanowił tamę. Widocznem zatem było, że przełamawszy tę tamę, musiała woda wybuchnąć utworzonym w ten sposób otworem i wartkim potokiem przepłynąwszy pochyłą płaszczyznę terasy, spaść z niej kaskadą na miałkie wybrzeże. Wskutek tego musiałby opaść cały poziom jeziora i odsłonić otwór którym odpływała zeń woda — co było ostatecznym celem całego przedsięwzięcia.

Chodziło więc o to, ażeby przełamać ową tamę granitową. Pencroff pod kierownictwem inżyniera, uzbrojony kilofem, którym władał równie zręcznie jak dzielnie, zabrał się do granitu od

jego zwierzchnego obmurowania. Dziura, którą zamierzał wydrążyć, rozpoczynała się na poziomej krawędzi brzegu i powinna była zagłębiać się skośnie, tak ażeby koniec jej leżał znacznie poniżej poziomu wody w jeziorze. Tym sposobem siła eksplozyjna rozsadziwszy skały, pozwoliłaby wodzie wylać się szerokim potokiem, a skutkiem tego wywołałaby znaczne obniżenie wody w jeziorze.

Praca trwała długo, inżynier bowiem chcąc sprawić skutek potężny, zamierzał poświęcić na to najmniej dziesięć litrów nitroglyceryny. Lecz Pencroff z Nabem pracowali naprzemian tak dzielnie, że około godziny czwartej z wieczora mina była gotową.

Pozostawała tylko do rozwiązania kwestja, jakimby sposobem zapalić masę eksplodującą. Zazwyczaj zapala sie nitro-glyceryna za pomocą lontu z masy eksplodującej, która wybuchając pociąga za sobą główną eksplozję. Ażeby wywołać takową, potrzeba koniecznie silnego uderzenia t. j. tarcia, gdyż zapalona poprostu masa spali się wprawdzie, lecz nie wybuchnie.

Cyrus Smith mógł był wprawdzie sporządzić lont. Nie posiadając właściwej do tego masy eksplodującej, mógł łatwo, posiadając kwas azotowy, otrzymać substancję zbliżoną do bawełny strzelniczej. Masa ta zawinięta w trąbkę i wsunięta w otwór napełniony nitroglyceryną, byłaby wybuchła za pośrednictwem zapalonej żagwi i dokonała głównej eksplozji.

Cyrus Smith jednak wiedział, że nitroglyceryna posiada własność eksplodowania wskutek silnego uderzenia. Postanowił więc skorzystać z tej jej właściwości, gotów zresztą użyć innego środka, skoroby ten go zawiódł.

W samej rzeczy uderzenie młota na kilka kropel nitro-glyceryny rozlanej na twardem kamieniu wystarcza, ażeby wywołać eksplozję. Lecz robotnik, któryby się podjął tego uderzenia młotem, musiałby sam paść ofiarą wybuchu. Cyrus Smith wymyślił zatem inny sposób. Na słupku wystawionym ponad otworem miny, postanowił uwiesić na powrózku uplecionym z włókien roślinnych kilka funtów żelaza. Drugi zaś powróz podobny, znacznie jednak dłuższy, napojony poprzednio siarką, miał być za jeden koniec przywiązany do środka pierwszego powrozu, podczas gdy drugi koniec miał się wlec po ziemi kilkanaście stóp od otworu miny. Zapaliwszy ten drugi powróz, ogień dosiągłby po nim pierwszego powrozu, który zająwszy się z kolei, przerwałby się, w skutek czego masa żelaza spadłaby na krople nitro glyceryny.

Wykonano zatem podobny przyrząd, poczem inżynier, oddaliwszy swych towarzyszy, napełnił otwór miny nitro-glyceryną tak, że sięgała aż po same brzegi otworu i wysączył kilka kropel na skałę, tuż pod masą żelaza zawieszoną poprzednio na słupku.

Dokonawszy tego, Cyrus Smith zapalił jeden koniec napojonego siarką powrozu, poczem oddalił się sam i powrócił do swych towarzyszy oczekujących go w „dymnikach.“

Powróz wspomniany miał gorzeć dwadzieścia pięć minut i w istocie po dwudziestu pięciu minutach nastąpił wybuch, którego niepodobna opisać. Zdawało się, że cała wyspa zadrżała w swych podstawach. Olbrzymi snop kamieni wyrzucony został w powietrze jak gdyby podziemną siłą wulkanu. Wstrząśnienie powietrza spowodowane wybuchem było tak wielkie, że skały „dymników“ zachwiały się. Osadnicy pomimo, że oddaleni byli całe dwie mile od miny eksplodującej, padli na ziemię.

Powstawszy, wybiegli na terasę ku miejscu, gdzie brzeg jeziora miał być rozsadzonym przez eksplozję....

Trzykrotne hurra wydarło się z ich piersi! Tama granitowa rozpłataną była szeroko! Woda buchała wąskim potokiem, pieniąc się pędziła wzdłuż terasy, a dosięgnąwszy jej brzegu, spadała kaskadą trzysta stóp wysoką na miałkie wybrzeże! (C. d. n.)

POGADANKI.

XXVII.

„Sezon“ miejski zakończył się w tym tygodniu urzędownie i świetnie wyścigami konnemi, teraz już, *quiconque se respecte*, powinien uciekać ze Lwowa, jeżeli mu nie chce wyrządzić despektu, uważając go także za wielką wieś z nieporadnym wójtem i ciasnogłowymi przysięgłymi na czele. Że Lwów nie jest wsią, tego dowodzi zaraz przy wyjeździe z placu Marjackiego, ulica Kopernika. Od dwóch miesięcy przerwaną tu jest komunikacja, a dotychczas ani wydział powiatowy, ani starostwo nie obłożyły wójta grzywną i nie usunęły go z posady, z tego powodu, iż wójt lwowski sam jest marszałkiem powiatowym i starostą w obrębie rogatek, *ergo*, Lwów jest stolicą, *et hoc pertinet ad jura nostra municipalia*, robić tyle nieporządku, ile nam się podoba, jakoteż, nie robić żadnego porządku.

Powiedziałem, że koniec sezonu wypadł świetnie, i obstaję przy tem twierdzeniu, mimo kurzu, któryśmy łykali jadąc za rogatkę janowską, i mimo małej liczby biegunów, które brały udział w wyścigach. Mylnie przypisują niektórzy ten słaby udział ogólnemu respektowi przed *Przedświtem* i wynikłej ztąd dezercji. Widzieliśmy przecież, iż *Abigail* i *Kapituła* porwały się na współzawodnictwo z tym synem wiatrów, o którego pożyczenie mi śmiem niniejszem upraszać hr. Tarnowskiego na wypadek, gdyby mi kiedy znowu, równie jak w r. 1859, przyszło potykać się z Włochami i Francuzami o całość i niepodzielność rzeszy rakuzkiej. Są chwile w życiu ludzkości i pojedyńczych, składających ją indywiduów, w których miło jest czuć pod sobą nie dwie, ale cztery nogi, zdolne pomykać z szybkością 8 sążni w sekundzie, w kierunku, który się człowiekowi wyda najbezpieczniejszym. Nic też dziwnego, iż mówią powszechnie, jakoby pewien rząd europejski usiłował nabyć *Przedświta* za bardzo znaczną sumę pieniędzy. Co się zaś tyczy wyścigów lwowskich, zapisać tu należy, iż konie p. Mysłowskiego nie przybyły wcale, z powodu „influencji“ która wybuchła w stajni koropieckiej. Walka toczyła się wyłącznie prawie między końmi hr. Tarnowskiego z Chorzelowa, i końmi p. Ochockiego, którym każdy miłośnik sportu po doświadczeniach tegorocznych życzyć musi lepszego trenera i lepszych dżokiejów. Jest jeszcze i trzecie *„item“* do którego ma prawo każdy czworonogi obywatel turfu, a tem jest, baczny sprawozdawca. Tego trzeciego brakło *Projektowi* bar. Hejdla. Reporter *Gazety Narodowej* rzucił na niego potwarz, jakoby brał udział w *„Beaten-Handicap“*, tj. w biegu koni pobitych, i jakoby trzeci minął metę — podczas gdy *Projekt*, nie będąc pobitym, nie należał do tego biegu wcale, a tylko podobieństwo kurtki sprawiło, iż nieomylna zresztą *Narodówka* wzięła *Latawicę* p. Czajkowskiego za *Projekta*. W dziennikarstwie jest to *lapsus* taki, jak gdyby kto wziął księżnę Metternich za księcia de Grammont, albo cesarzowę Eugenję za p. Disraelego.

Nie na arenie wszelako koncentrował się główny interes kursów — był on i bywa zawsze w loży *jockey-club'u*, a po części także na trybunach i na przestrzeni przeznaczonej dla powozów. Swiat, światek, pół-świat i pół-światek podzieliły się temi miejscami, odwracając uwagę sporstmenów i tych, którzyby za sporstmenów uchodzić pragnęli, od toru i jego hippicznych wrażeń. S w i a t e k nie ma pretensji, ażeby o nim zdawano sprawę, o p ó ł - ś w i e c i e i p ó ł - ś w i a t k u zamilczeć wolę, a ś w i a t, wielki świat, jest znowu zbyt zamkniętym w ciasnych i nieprzekraczalnych granicach, by wolno było posunąć niedyskrecję dalej jak do wymienienia początkowych liter przy wyliczaniu tego, czem nas, parterową publiczność, czarowały te wysokie sfery. Gdy jednak od pewnego czasu *Szczutek* nie daje już łamigłówek, a potrzeba myślenia i łamania sobie głowy niezmiernie żywo czuć się ma dawać na prowincji, więc umieszczę tu parę cyfer, i niech się każdy domyśla, jak może. Między najpiękniejszemi była tedy hrabianka P. i hrabina P. S. dalej hrabina M. i hrabina L. S. dalej pani M. i cały alfabet. Otóż jest i łamigłówka. Toalety były po części bardzo świetne, większa ich część atoli uderzała raczej dobrym smakiem niż ową ekscentrycznością, o której nam piszą z Paryża, że ma być cechą mód tegorocznych. Nie było mianowicie owych obcisłych.... jakże je nazwać?.... chcę mówić owych sukni, znanych nam dopiero z karykatur Bertala, tak skrojonych, że dolna część zdaje się zsuwać z górnej, i że cała figura przypomina Wenus z Milo, która, gdyby miała rękę, musiałaby nią zdaniem estetyków przytrzymywać spadającą z bioder draperję. O ile zdołałem zbadać, przy najskrupulatniejszej baczności, nie było także owych pończoch w różnokolorowe wzory i kwiaty, o których nam pisano — a przynajmniej jeżeli były, to ja ich niestety nie widziałem, jakkolwiek (dla zadośćuczynienia ciekawości łaskawych moich czytelniczek wiejskich, oczywiście) — natężałem moje okulary niemało w tym kierunku. *A propos*, radbym też wiedzieć, zkąd ci dziennikarze paryzcy wiedzą, jakie pończochy są w modzie.

Mais soyons sages, zwłaszcza gdy mamy jeszcze jedno bardzo marcyalne wspomnienie do zanotowania. Sprawozdawca *Dziennika Polskiego*, urzędujący z wielką powagą na niebotycznym *„reporter-seat“* (po polsku: banty kronikarskie) zachwycał się jeszcze w środę „biegiem myśliwskim“ w którym brało udział siedmiu jeźdźców — podczas gdy sprawozdawca *Narodówki* wspomniał z lekceważeniem, że konie skacząc poprzewracały płoty. Gdyby ten Zoil był widział, że *Lulu* zamiast zjechać w dół i wyjechać z niego, przez pomyłkę przeskoczył tę przeszkodę, licząc dwadzieścia kilka stóp szerokości, złość jego musiałaby była zamilknąć. Płoty przewracają się zawsze przy wyścigach, i sportsmenowie twierdzą, że inaczej być nie może, i że nie zmniejsza to bynajmniej zasługi skoku. Komuż wierzyć w tej materji, jak nie sportsmenom?

Ponieważ wszelako skonstatowałem, że sezon skończył się, więc uważam, że będzie na

czasie zamknąć niniejszą pogadankę i rozpatrzeć się, czy nie możnaby pojechać do wód, bodaj, jak raz już mówiłem, do Kamińskiego? Zrobimy sobie tę przyjemność, jeżeli przypadkiem magistrat nie postawił po drodze jakiej barykady, zamykając poddanej sobie ludności wyjazd z śródmieścia. Zobaczycie państwo, iż przyjdzie do tego, że ludzie kąpać się będą w bassynie na Marjackim placu, dla braku komunikacji z Wulką.

Jan Lam.

STANOWISKO FILOZOFJI KAROLA LIBELTA,

i stosunek jego do innych współczesnych filozofów polskich.

Napisał

DR. A. MOLICKI.

(Ciąg dalszy.)

Kiedy filozofowie nasi ze szkoły Hegla i Schellinga (Kremer, Trentowski, Libelt, Gołuchowski, Cieszkowski) wstępowali na widownię filozoficzną (w 4ej i 5ej dziesiątce) mieli już grunt przygotowany co do tych pojęć, które miały nadać osobny charakter naszej filozofji. Bezpośrednio wpłynęła na to literatura romantyczna: tak nasza jak niemiecka i angielska. Już wtedy znane były najważniejsze utwory Mickiewicza, biorę tylko jego utwory po r. 1830, a więc: „Księgi narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego 1832,“ „Dziady cz. III. 1833“, „Pan Tadeusz 1834“, a w r. 1840 zaczął „Kursa literatury słowiańskiej,“ znany już był „Irydyjon“ (1836 r.) Krasińskiego, i wiele innych, że poprzestanę na najważniejszych. Jeżeli zważymy ogromny rozgłos i wpływ jaki wywierały te utwory, łatwo znajdziemy źródło, z którego wyszły pomysły polskiej, narodowej filozofji u naszych myślicieli. Pośrednio zaś możnaby to odnieść jeszcze do wielkich usiłowań Komisji edukacyjnej i Towarzystwa przyjaciół nauk warszawskiego, mających na celu podniesienie upadłego kraju podźwignięciem oświaty narodowej. Już wtedy tacy poeci jak Trembecki, Godebski i Brodziński napomykali o tem. Ale jeśliby to źródło wydać się mogło za dalekiem, choć Mickiewicz biorąc za podstawę przeczucie tej idei, odnosi początek cechy narodowej już do wieku XVII. *) to nie ulega najmniejszej wątpliwości, że tamto dostarczyło pomysłów naszym filozofom. Jakoż Libelt za pierwszą poezję w tym duchu uważa „Irydyjona“ Krasińskiego**), Pierwszym zaś z myślicieli który podniósł u nas kwestyję „słowiańską“ jest Alex. Tyszyński***), choć i on miał już drogę utorowaną przez Hanuscha i Herdera w Niemczech. Po nim dopiero powtórzyli ją inni, jak Trentowski, Libelt i t. p.

Tyle zatem co do źródła i czasu powstania cechy „narodowej“. Nim zaś przejdziemy do bliższego jej poznania, zastanowimy się wprzódy nad powstaniem dwóch innych znamion.

Wiadomo, że na początku naszego wieku powstała w Hiszpanji, Francji i Niemczech dążność do połączenia rozumu z wiarą, filozofji z teologją. Nastąpiło to pod wpływem z jednéj strony zeszłowiecznego sensualizmu i rewolucji, oraz negacyjnych wypadków „Krytyki czystego rozumu“ Kanta, odnośnie do kwestyj religijnych istnienia Boga, nieśmiertelności duszy i wolności woli — z drugiéj zaś pod wpływem żywotności katolicyzmu. Systemy Fichtego, Schellinga i Hegla roztapiające najwyższe prawdy Chrystjanizmu w czczych ogólnikach, wzmocniły jeszcze tę dążność. Pozostaje więc liczny zastęp myślicieli w obronie wiary. Balmés, A. Nicolas, Roselly de Lorgues, Jacobi, Schlegel, Solger i wielu innych, walczą przeciwko pojęciom antichrześciańskim i dążą do pogodzenia owego dualizmu. Żyjący podówczas na obczyźnie nasi filozofowie: Królikowski, Cieszkowski, Kremer są świadkami tej walki; przyjmują stronę obrońców wiary, i w wnętrzu swojem szukają utrwalenia jej zasad. W tym to więc czasie rodzi się cecha „religijna“ naszej filozofji, o któréj charakterze nim powiemy bliżej, rzućmy jeszcze parę słów co do czasu i okoliczności powstania ostatniej.

Filozofja w Niemczech rozwijając się w coraz bardziej wykształconej formie od Spinozy i Wolffa aż do Hegla, nie mogła w czasach swego najwyższego rozkwitu wzniecać takich wrażeń, jakie obudziła zaraz u nas. Niemcy przyzwyczaili się stopniowo do uważania oderwanych pojęć za rzeczywiste prawdy. Zupełnie zaś inaczej było u nas. Długo pozostając pod wpływem filozofji scholastycznej, bawiącej się subtelnostkami, ale zawsze w rodzaju więcéj przedmiotowym niż tamte, kiedyśmy pod kierownictwem Komisyi edukacyjnéj mieli się zapoznać z filozofją zachodnią, wybrano podręczniki tak zwanéj szkoły sensualnej (Condillac, Locke), przy których zaprawiliśmy się do filozofowania nie przechodzącego granic zmysłowych. Utrwaleni w tym jeszcze przez takie powagi jak Jan Sniadecki, przywykliśmy tak dalece do empiryzmu i dotykalnej rzeczywistości, że systemy idealne Fichtego, Schellinga i Hegla wydały nam się od razu więcej oderwanemi niż były w istocie. To też kiedy krytycy niemieccy powyższych systemów idealnych trzymają się granic krytyki idealnej; kiedy spierają się o podstawowe ogólne pryncypja, proponując jeszcze więcej oderwane — nasi krytycy argumentują tylko w ten sposób, że to wszystko bez żadnego związku z światem przedmiotowym, że to martwa abstrakcja bez życia, że samemi racjonalnemi pierwiastkami nie dojdziemy do poznania istoty Boga i nieśmiertelności żywota — słowem że systemom tym brak przedmiotowej „rzeczywistości“. Po utarciu się takich pojęć musiało iść w naturalnem następstwie ogłoszenie „rzeczywistości“, jako cechy różniącej naszą filozofję od filozofji niemieckiej. Jakoż Libelt w połowie piątej dziesiątki zaznacza filozofji słowiańskiej, jako konieczne znamię „czyn,“ „rzeczywistość“, a potem Tyszyński w r. 1850 stawia tę samą cechę, jako piętno filozofji polskiej. I oto wpływy i czas zrodzenia się tej ostatniej cechy.

Przystąpmy teraz do bliższego poznania charakteru powyższych cech i udziału, jaki w tem przyjął Karol Libelt, a to w porządku w jakim dotąd o nich mówiliśmy.

Że filozofowie nasi nie z takich pobudek jak osądził p. Krupiński, nadali naszej filozofji miano „sławiańskiej,“ „polskiej“, „narodowej“, można to było zauważyć z tego, cośmy wyżej zaznaczyli. Nadanie tej cechy nie płynęło ani z interesu okazania się nowymi, ani swojskimi, ani też z rachuby jakoby pod ten sztandar pociągnęło się rodaków — ale pochodziło z wyższych pobudek, jakie zrodził duch czasu i nieszczęsna dola naszego kraju. Ci z filozofów, którzy nie poddali bardzo serca tym wpływom, albo którzy filozofję pojmowali zawsze w znaczeniu umiejętności uniwersalnej, powstawali przeciwko tej nazwie. Ci zaś, których duch czasu owionął do koła, którzy serce swoje łączyli z wieszczami narodu — ci byli za jej utrzymaniem. Ztąd między jednymi a drugimi rodzi się polemika. Następnie między ostatnimi powstaje rozdział i walka, ale już nie o uznanie samej nazwy, gdyż na nią się zgadzają, lecz o umiejętny pierwiastek, na którym cechę „narodową“ oprzeć należy. I jeżeli wśród tej walki wyradza się u ostatnich pierwotne natchnione pojęcie tej cechy; jeżeli ona w szrubach formułek filozoficznych co raz więcej się paczy i odstępuje od pierwotnego typu, to u tych, którzy dali impuls temu życiu, u wieszczów naszych, pozostaje czystem i nieskalanem, takiem właśnie, jakiem zrodził je duch dziejowy.

O powyższych słowach moich można się przekonać z ustępów które przytoczę. Dla zrozumienia zaś dodam wprzód jeszcze, że stronę pierwszą przedstawia głównie Dr. J. Kremer, drugą zaś Jawiński, Trentowski Libelt, Cieszkowski i inni. Walka zaś drugiej strony o ów pierwiastek, toczy się głównie między Trentowskim a Libeltem. Nieskalany zaś obraz charakteru tej cechy, jej prototyp najwyższy, przedstawia A. Mickiewicz.

(C. d. n.)

*) Mickiewicz: „Literatura Słowiańska“ w tłum. F. Wrotnowskiego T. II. str. 371—380. Poznań 1865 wyd. 3cie.

**) Libelt: „Filozofija i Krytyka“ Poznań 1845 T. I. str. 249.

***) Zobacz jego „Rys historyczny oświecenia Słowian“ w „Bibliot. Warsz“ z r. 1841. T. III. str. 530-536.

Ze świata muzykalnego.

Pierwszy to raz podobno Towarzystwo muzyczne zamyka artystyczny sezon, nie pozostawiając żadnych zaległości; nie przypominamy sobie albowiem, aby z obowiązujących go 4 koncertów dla swoich członków, jeden a czasami i więcej nie były odłożone na czas powakacyjny. Zwłoka ta niekorzystnie wpływała na interesa Towarzystwa, i jak np. w tym sezonie była powodem, że koncertu nadzwyczajnego, który nie tylko dla publiczności jest pożądanym, ale i dla Towarzystwa pod względem materjalnym wiele się przyczynia, prawie niepodobieństwem było urządzić.

Tak więc w dwie następujące po sobie niedziele, tj. d. 13 i 20 czerwca odbyły się III i IV, ostatni koncert. Pospiech ten zwłaszcza w tak spóźnionej porze, gdy z powodu upałów trudno zebrać artystyczne siły, kosztował wprawdzie nie mało pracy ze strony dyrektora Mikulego. ale też i słusznie za jego w tym względzie energję należą się dzięki.

Program IIIgo koncertu z d. 13. rozpoczęła z sumiennością i opracowaniem godnem pochwały wykonana przez p. Ostrowską, Fantazja Chopina, (Op. 13) na temata polskie. do której akompanjament orkiestrowy ułożył na fortepjan i wykonał sam dyrektor Mikuli. Następnie po odśpiewaniu „Waldesgespräch“ Schumana i „Frülingsnacht“ Jensena przez p. P. oraz po odegraniu 4 Schumanowskich ustępów na wiolonczellę (z których ostatni najwięcej się podobał) przez p. Wolmana, wykonane zostały cztery ballady „O paziu i królewnie“ Schumanna.

Jeżeli mamy wyznać szczerze, niespodziewaliśmy się aby te ballady doznały u nas takiego powodzenia i przyjęcia. Schumann należy do rzędu kompozytorów, których aby ocenić, i w pięknych melodjach jak również bogactwie harmonij zagustować, trzeba być już w pewnym stopniu muzykalnym. Ballady jego, zadziwiające przedewszystkiem swojemi rytmami, a w wielu miejscach dość utrudnione harmonijne rozwiązania przejść akordowych, w które nie raz wsłuchać się dopiero należy, zdawały nam

się nie bardzo przystępne dla szerszej publiczności naszej. Do zrozumienia dziś tego muzyka-poety wprawdzie wiele się przyczyniło u publiczności częste od niejakiego czasu produkowanie przez Tow. muzyczne dzieł Schumanowskich, i to jest może najlepszy sposób do głębszego poznania indywidualności każdego autora; tak przysłuchawszy się więcej i poznawszy bliżej nie tylko pojedyncze. (na instrumenta lub śpiew) ale też i zbiorowe (jak np. „Sängers-Fluch," „Requiem für Mignon") utwory Schumanna, łatwiej nam przychodzi zrozumieć go w jego balladach.

Okoliczność ta mogłaby jednocześnie posłużyć za usprawiedliwiającą odpowiedź tym, którzy nie wchodząc w właściwy cel Towarzystwa muzycznego, zarzucają temuż zaniedbanie muzyki polskiej, a propagowanie przeważnie muzyki klasycznej; zarzutom tym towarzyszą zwykle wymagania rzeczy przystępnych i zrozumiałych dla ogółu — rzeczy dających przyjemne może, lecz chwilowe i bez żadnych dla wykształcenia ogółu korzyści, zadowolenie. Powinnibyśmy już raz dojść do przekonania, że muzyka, jako sztuka w ogóle, nie zna narodowości: że jeżeli Niemcy studjują i oceniają naszego Chopina, dla czegoż my nie mamy studjować ich Bethovena? że na klasycznych wzorach dawnych Włochów i Niemców kształcą się i nasze talenta; czyli inaczej mówiąc, że Chopin nie byłby Chopinem gdyby swe studja opierał tylko na skromnej znajomości jedynie polskich krakowiaków. Schlebianie publiczności produkowaniem rzeczy nie mających wewnętrznej wartości, a których głównem zadaniem jest wywołanie efektu, powinno być zostawione tym, którym chodzi jedynie o oklaski i owacje, lub też nagromadzenie ciekawych do sali.

Pomijając szczegółowy rozbiór ballad, jako arcydzieło dokładnie charakteryzujące rodzaj talentu kompozytora, powiemy słówko o wykonaniu: z ośmiu solowych partyj tj. 2 sopr. alt, tenor i 3 basy — główną partję (altową) przyjęła znana z pięknngo głosu p. Wanda H. Gdybyśmy wiedzieli, że nasze słowa mogą mieć wpływ jaki, nie żałowalibyśmy ani pióra ani atramentu, aby tę grzeczną dyletantkę dość skrytykować. Nie za wykonanie, gdyż ono nie tylko nic nie pozostawiło do życzenia ale nawet przeszło wszelkie oczekiwania... lecz za tak długie milczenie. Prawdziwy i piękny głos altowy w dzisiejszych czasach należy do fenomenów, a kogo natura tak hojnie nim obdarzyła, ten wielką krzywdę czyni publiczności i sobie, jeżeli tak rzadko słyszeć się daje. Pojmujemy że skromność i wrodzona nieśmiałość są głównemi powodami, które p. H. wstrzymują od produkowaula się publicznie, lecz z drugiej strony tylko częsty współudział w koncertach ośmielić ją może. Mamy nadzieję, że powodzenie ostatniego koncertu doda zachęty i odwagi, a słów kilka szczerej w imieniu wszystkich podzięki za wyrządzoną swym spiewem przyjemność, posłuży jako zaproszenie na przyszłość „pro bono publico.... et suo!" Partję królewnej (w 1 i 4ej) oraz rusałki (w 3) balladzie odśpiewała z całym wdziękiem p. Z. W. Ustęp który królewna kończy słowami!

A przecież milszy mi stokroć był
Mój paź w ubogiej szacie

był powiedziany z całym uczuciem i prawdą, i może największe uczynił wrażenie. Pan Cet. partję pazia wykonał z sumiennością prawdziwie zamiłowanego w muzyce dyletanta, za którą bardzo słusznie w muzykalnych kołach używa powszechnej sympatji. Opracowanie pozostałych części solowych i chórów, nie pozostawiło nic do życzenia.

IV. i ostatni koncert (orkiestrowy) przy temperaturze dochodzącej 30 stopni ciepła w sali, a więc w pocie czoła wykonany i wysłuchany, składał się z symfonij (G-mol) Mozarta, „Wolnomularskiej muzyki żałobnej" tegoż, „Andante con moto" Mendelsohna oraz „Menuetto grave" Rebera. Orkiestrę Tow. muz. składają: profesorowie instrumentów smyczkowych towarzystwa, artyści orkiestrowi płatni za próby i przedstawienia, amatorowie dla własnej przyjemności udział biorący i lepsi uczniowie Towarzystwa. Jeżeli pojedyńczy kwartet smyczkowy wymaga długoletniej wspólnej a wytrwałej pracy, aby doszedł do doskonałości zaspakajającej wymogi, choćby tylko umiarkowanej krytyki; ileż więc na to czasu, jedności a przedewszystkiem dobrej woli współdziałających potrzebować będzie złożona po większej części z amatorów orkiestra? I tu znowu przychodzi nam na myśl nieraz dający się słyszeć zarzut, że Towarzystwo nie posiadając własnej orkiestry, obcemi posiłkować się musi!... Niezadowolonych z obecnego stanu rzeczy prosimy o możebny do urzeczywistnienia projekt założenia we Lwowie konserwatorjum, którego fundusze dozwoliłyby rozszerzyć działalność tej instytucji na wzór pierwszorzędnych za granicą.

Mimo jednakże tych warunków, jak zawsze, tak też i w tym koncercie widoczną była energja dyrektora Mikulego w opracowaniu wykonanych dzieł, za co też publiczność sama mu podziękowała.

W części wokalnej słyszeliśmy dwie pieśni „Sonet (Słowackiego) i Serdeczna dola", do których muzykę dorobił p. H. Jarecki. P. J. jest uczniem naszego nieodżałowanego S. Moniuszki, a utwory jego przyjęte u nas zostały z wielkim zapałem; utalentowany ten kompozytor odznaczający się świeżością myśli i młodzieńczą werwą, będąc jeszcze w Warszawie, już tam zwrócił na siebie powszechną uwagę. Żałujemy tylko, że p. J. zajęty mozolną pracą przy tutejszej operetce nie ma sposobności oddać się z całą swobodą zawodowi kompozytorskiemu, gdyż na tem polu bez wątpienia piękna przyszłość go czeka. Z dzieł jego pisanych na instrumenta, słyszeliśmy, że niektóre, a mianowicie kwartet smyczkowy, autor ma zaprodukować na jednym z koncertów Towarzystwa Muzycznego w przyszłym sezonie. Oby tylko ten kwartet nie poszedł za przykładem konkursowej sonaty na fortepjan i wiolonczellę, którą p. J. jeszcze przed paru laty miał dać na jednym z wieczorków Tow. Muz. a której podobno do dziś z Warszawy odebrać nie może.

Drugim ustępem wokalnym był duet z opery „Iphigenia w Tauris" Glucka odśpiewany bardzo dobrze przez pp. Cet. (tenor) i M. (baryton).

Walery Wysocki.

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Pamiętniki o powstaniu w Polsce w r. 1830— 1831 jenerała Henryka Dembińskiego.— Kraków, 1875.

Niniejsze pamiętniki, są bardzo cennym dodatkiem do historji powstania listopadowego. Autor zaczyna opowiadanie od 15 listopada r. 1830 a urywa je nagle wśród bitwy pod Małatami. Opowiadanie bardzo żywe, faktów nowych bez liku.

— Geografia Galicji, podręcznik dla uczniów seminarjów nauczycielskich i dla nauczycieli szkół ludowych — ułożył Łucjan Tatomir — 2ga połowa, nakładem K. Wilda — Lwów 1875.

Po pojawieniu się pierwszej części tej pięknej książki, pisaliśmy o niej na tem miejscu. Część niniejsza, zamykająca całe dzieło, zaczyna się drugą połową rozdziału VII, w którym mowa o płodach krajowych, potem następują rozdziały o przemyśle, środkach komunikacji, handlu, urządzeniach państwowych, władzach i urządzeniach duchownych, oświacie, urządzeniach społecznych i nareszcie o pamiątkach historycznych. Rozdziałów wszystkich jest zatem XV, a iż każdy z nich czyta się przyjemnie, i że całość daje wierny obraz Galicji, tego powtarzać nie potrzebujemy. Gdyby p. Łucjan Tatomir miał czas zająć się napisaniem takiej samej geografji innych części ziem polskich, praca jego byłaby wielkiej doniosłości. Mamy nadzieję, że to może nastąpi.

— Najnowszy i najprawdziwszy wykład snów, czyli „Sennik," oraz najnieomylniejszy sposób wygrania na każdej loterji, opisał dla pożytku grających w loterję Kazimierz Góralczyk. Nakład A. Nowoleckiego — Kraków 1875.

Nie jeden przeczytawszy tytuł powyższy, mógłby sądzić, zwłaszcza gdyby nie wiedział, że pod pseudonimem K. Góralczyka ukrywa się zasłużony nasz pisarz, Władysław Anczyc, — że ma do czynienia z publikacją, obliczoną na wypróżnienie worka czytelnika. Tymczasem rzecz ma się wręcz przeciwnie. Niniejsza książeczka, zawiera najpierw bardzo zbawienne rady, w formie tłumaczenia snów, a następnie kilka powiastek, z których każda jest wymierzona przeciw nieszczęśliwej manji grania w loterję. Autor mówi: zamiast stawiać na loterję, zanieś pieniądze do kasy oszczędności i złóż na książeczkę, a pewnie wygrasz. Że powiastki są pisane językiem przystępnym dla ludu, a prócz tego dowcipnie i zajmująco o tem ponoś nikt wątpić nie będzie. Nazwisko autora jest tu najlepszą rękojmią. Co do wykładu snów to na próbkę przytaczamy kilka: „Adwokat" oznaca proces. Sen taki ostrzega, aby w spory z sąsiadami o lada co nie wchodzić, a procesów unikać jak ognia, gdyż najwięcej w nich obie strony niszczą się na stemple i koszta, a tylko adwokaci zyskują.— „Arendarz" lub szynkarz przepowiada nieszczęście. Śniący powinien po takim śnie strzedz się uczęszczania do karczem i szynków, nie wchodzić w żadne interesa z arendarzami lub szynkarzami, bo ci mu niewątpliwie zgubę gotują.— „Cebula" gdy się przyśni, zapowiada szkodę pochodzącą z interesów z żydem zrobionych.— „Pałasz" upomina aby się mieć na baczności przed żołnierzem, który zamyśla bałamucić niewiasty w domu śniącego.—Na próbę przytoczyliśmy rad kilka, a jest ich kilkaset, z których każda zdrowa i z przyjemnością czytać się dająca.— Książka Góralczyka będzie nieocenionym skarbem dla ludu, i dla tego szczerze nas cieszy, że p. Nowolecki rozpoczął nią wydawnictwo swojej „Czytelni ludowej."—

Niemiecka.

— Der polnische Parnass. Ausgewählte Dichtungen der Polen. Uebersetzt von Heinrich Nitschmann. Vierte sehr vermehrte Auflage — Leipzig A. Brockhaus — 1875. XII. 381.

P Nitschmann wydawca niniejszej publikacji, tudzież wzorowy tłumacz „Pieśni o ziemi naszej" p. Ludwik Kurzmann w ostatnich dwóch latach nie małe położyli zasługi w obec Niemców, zobojętniałych dla literatury polskiej, zaznajamiając ich z działem poezji naszej. Książka powyższa została szczęśliwie przyjętą, i pojawiła się już w czwartej edycji z dodaniem wielu nowych przekładów i poprzedzono ją krótkim zarysem historji literatury polskiej. Tłum acz pragnął rodakom swoim podać obraz poezji polskich wieszczów w ścieśnionych ramach od czasów Zygmuntowskich aż do najnowszych, poczynając od Reja a kończąc na Asnyku. W układzie przedmiotu czuć się daje brak umiejętnego grupowania najwybitniejszych postaci, w całości zaś panuje taka chaotyczność, że czytelnik nie ma jasnego poglądu, który z poetów zajmuje wybitniejsze, a który podrzędniejsze stanowisko w literaturze polskiej. Znajdujemy tu reprezentantów wszystkich epok obok imion i tytułów podrzędniejszych nawet autorów. Słowackiego jednak i Krasińskiego nie spotykamy wcale w tej galerji poetów polskich.— W skutek tego powstały luki, które najświetniejszy koloryt obrazu zamazały. Spostrzegamy n. p. w tym „Polskim Parnasie" utwory, pozbawione wyższej wartości, które tłumacz mógł z korzyścią naszą i Niemców opuścić; gdy natomiast przełożone w całości poematy jak: „Marya i Wiesław," w stosunku do objętości dzieła są za obszerne. — Nie mało też znajdujemy błędnych szczegółów dotyczących życia poetów i edycji ich utworów, zkąd wniosek, że wydawca wiadomości brał dorywczo, czerpiąc przytem z mętnych źródeł.— Pod względem formy tłumacz był nader szczęśliwym; przekład bowiem celuje prawie wszędzie łatwością i pięknością wyrażeń, które wiernie oddają myśl, barwę a nawet właściwości pisarza polskiego, jednem słowem wszystkie trudności tłumaczenia pokonał zwycięsko.— Dlatego praca p. Nitschmanna, mimo usterek powyżej wymienionych, pożyteczna i troskliwie zebrana, zasługuje na wszechstronne uznanie tak ze strony Niemców, których poezją naszą zajął, jakoteż i od nas samych.—

Szwedzka.

— Öfversigt af den Polska Litteraturen med särskildt afseende på den svenska historien af Xaver Liske prof. vid universitetet i Lemberg. Öfversättning från författarens tyska original-Handskrift.

Jest to odbitka z I. tomu czasopisma: Historisk Bibliotek I. w szwedzkim języku wychodzącego, i zawiera przegląd literatury polskiej o ile ta zostaje w związku z historją szwedzką. Tłumaczenia dokonano według oryginalnego rękopismu Dra. Liskego. Część I. właśnie wydana zawiera sprawozdanie o materjałach do historji szwedzkiej, zawartych w następujących dziełach: Liber Cancelariae, Stanislai Ciolek; Acta Tomiciana; Biblioteka ordynacji Krasińskich; Anton Eichhorn; Martin Kromer; C. Walewski; Marcin Kromer; W. Nehring, o życiu i pismach Jana Dymitra Sulikowskiego; J. Szujski, Scriptores rerum Polonicarum Tom I; K. Szajnocha, Szkice historyczne, Bezimienny, Polska w czasie I. wojny szwedzkiej, 1655 — 1657 A. Walewski Historja wyzwolenia Polski za Jana Kazimierza, część I.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i sztuka.

— „Przeglądu ekonomicznego“ wyszedł już Nr. 2. O ile wnosić możemy z wydanych dwóch numerów, nowe to pismo będzie bardzo pożyteczną u nas publikacją. Mimo oschłości poruszanych przedmiotów, cały „Przegląd“ redagowany jest tak przystępnie, a pojedyncze artykuły pisane tak poprawnie, że z przyjemnością może go czytać nawet nieekonomista. W numerze drugim znaleźliśmy dobrze napisany fejleton, pt. „Rozpamiętywania starego p. Tadeusza z Woli szlacheckiej“ i artykuł „O drożyźnie“ na który w zupełności się piszemy. Przy końcu każdego numeru znajdują się praktyczne rady gospodarskie.

— „Zaklęte dzwony“, legenda z dziejów Polskich przez Władysława Bełzę, we Lwowie 1876 r. wyszła nakładem księgarni polskiej str. VIII i 80. z illustrowaną winietą rysunku K. Młodnickiego.

— Wspominaliśmy już o ruchu w Anglji skierowanym ku zabezpieczeniu praw autorskich pisarzy zagranicznych. Dotychczas elastyczność praw i przepisów pod tym względem była tam istotnie oburzającą. Pod tak zwane „adaptation“ czyli przyswojenie, podciągano niewolnicze naśladownictwo obcych dzieł, nieraz nawet dosłowne tłumaczenia z kilkoma nic nieznaczącemi zmianami, dla uniknięcia procesu. Była to prosta kradzież, przynosząca ujmę uczciwości narodu. Otóż, wyszedłszy z powyższego przeświadczenia, obecnie uformowało się w Anglji towarzystwo w celu zabezpieczenia autorów zagranicznych od takiej grabieży. Określi ono ściśle, gdzie zaczyna się prawo własności obcych pisarzy i ułatwi im drogi do poszukiwania krzywd im zadanych pod tym względem. Dotychczas drogi te były najeżone mnóstwem drobnostkowych i kosztownych formalności. Na czele powyższego towarzystwa stoi lord Lytton, syn sławnego romansopisarza angielskiego.

— Bardzo ważne! W Bergamo odnaleziono wiele dzieł pośmiertnych Donizetti'ego, a pomiędzy niemi oryginalną partyturę muzycznej farsy „Dzwonek kramarza,“ do której Donizetti sam także i tekst napisał — oraz partyturę do „Dwaj mężowie a jedna żona“ z librettem Gustawa Vaëz. Najważniejszą zaś częścią tego odkrycia jest rękopis trzyaktowej opery „Książe Alba“ z librettem francuskiem Scribego. Pierwszy akt tej opery jest zupełnie wykończony, z dwóch innych główne numery skomponowane. Obecnie trzech kompozytorów zajmuje się dopełnieniem recitativów.

— Na cmentarzu lipskim wzniesiono pomnik Schumannowi, w kształcie obeliska z siwego sjenitu, na piedestalu wyryto nazwisko znamienitego muzyka. Dzieło to wielkiej wartości artystycznej a pełne wzniosłej prostoty.

— Budujący się obecnie nowy teatr drezdeński będzie jednym z najobszerniejszych w Europie, rozumie się po Operze paryskiej. Zajmie on przestrzeń 5.600 metrów kwadratowych. Przejdzie więc teatry: petersburgski i monachijski, zajmujące tylko 4559 a drugi 4302 metr. kwadr. przestrzeni. Co do Opery paryskiej teren przez nią zajęty wynosi 11.237 metr. kwadr. Wielki teatr drezdeński przeznaczony będzie do przedstawień opery.

— Mikado Japoński zamówił u jednego z włoskich malarzy portrety wszystkich władzców Europy dla ozdobienia niemi rezydencji swojej w Takio. Mikado pragnie również przyciągnąć włoskich malarzy do Japonji w celu uformowania tamże szkoły malarskiej.

— Niejaki p. Marcello Massarenti odkrył w Rawennie portret Raffaela, który o ile się zdaje, był przez samego mistrza malowany. Portret ten znajduje się obecnie w Rzymie.

Medal pamiątkowy.

— Nadeszły już pierwsze odbitki medalu, poświęconego Rusinom, poległym na Podlasiu i w Lubelskiem w r. 1874. Z jednej strony medalu jest krzyż z cierniowym wieńcem utkwiony w skałę, o który opartą jest tarcza z herbami Polski, Litwy i Rusi. U spodu skały rok 1874, a dokoła napis: „Braciom Rusinom pomordowanym przez carat Moskiewski, za wierność dla kościoła i Polski“. Na drugiej stronie medalu jest księga otwarta — to martyrologja polska, na której wypisane są nazwiska poległych włościan w następującym porządku: Andrzejuk Jan, Baczyluk Wincenty, Bocian Teodor, Bojko Konstanty, Bojko Łukasz, Charytoniuk Andrzej, Charytoniuk Trochim, Franczuk Ignacy. Franczuk Michał, Hawryluk Maksym, Hryciuk Nicety, Karmaszuk Daniel, Kiryluk Filip, Łukaszuk Konstanty, Osypiuk Bartłomiej, Pawluk Szymon, Romaniuk Jan, Tomaszuk Onufry. U góry księgi jest gwiazda której promienie rozpościerają się po nad księgą; u dołu dwie gałązki palmowe na krzyż związane. Do koła napis: „Województwo Podlaskie i Lubelskie“ — „Polubicze, Drelów, Pratulin.“ Medal ten wielkości tej samej co i medal Unji, wykonany został przez tegoż samego rzeźbiarza-medaliera p. Tasset'a w Paryżu, a wykonany został z tąż samą poprawnością rysunku, dokładnością i wdziękiem, który odznacza szkołę medalierską francuską, i nadługo daje jej pierwszeństwo przed innemi szkołami.

Konkurs.

— Na konkurs dramatyczny w Krakowie zebrano tego roku 900 zlr. Komisja składa się z tych samych członków co w roku ubiegłym, oraz z panów: Franciszka hr. Łubińskiego, Jana hr. Zamojskiego i Marcelego ks. Czartoryskiego. Warunki konkursu zostały ułożone na posiedzeniu komisji d. 29. czerwca. 1) Nagrodę 600 zlr. otrzyma najlepsza zdaniem komisji sztuka, (komedja czy dramat) współczesna lub osnuta na tle historji polskiej. Utwór winien zapełniać cały wieczór i mieć najmniej trzy akty. 2) Nagrodę 300 zlr. otrzyma najlepsza zdaniem komisji, sztuka ludowa ze śpiewami lub bez śpiewów. 3) Sztuki zalecone przez komisję do grania otrzymają 10% tantjemy od czystego dochodu za każdem przedstawieniem, mogą być jednak grane tylko za zgodą autora. Utwory winne być nadsyłane pod adresem: Dyrektora teatru p. Koźmiana w teatrze przed 1szym lutego 1876 r.; jednak do 15. lutego 1876 r. Komisja przyjmować będzie nadesłane utwory, lecz po tym ostatecznym terminie przyjmować ich nie będzie. Imię i nazwisko autora, winne być dołączone w zapieczętowanej kopercie. Komisja rozpocznie swoją pracę 1. lutego 1876 r. a wyrok wydanym zostanie najpóźniej 15. marca 1876 r. Skład komisji konkursowej jest następujący: pp. Bartels, Kłobukowski, hr. Tarnowski, Estreicher, hr. Artur Potocki, Szukiewicz, Siemieński Lucjan, Koźmian, Lisicki, Sokołowski, hr. Zamojski, hr. Łubiński, ks. Czartoryski i p. Zatej, jeżeli przyjmie zaproszenie. Zastrzeżenia, uczynione na poprzednich konkursach krakowskich co do sztuk drukowanych, granych już, lub osądzonych przez komisję, obowiązują nadal. Komisja uprasza o nadsyłanie czytelnych rękopismów.

Wynalazki.

— W Glasgowie, w Szkocji, wynaleziono nowy aparat mający służyć do ratunku ludzi tonących na morzu. Aparat składa się z dwóch poduszek, z których pierwszą umieszcza się na plecach a drugą na piersiach. Ponieważ poduszki są z preparowanego drzewa korkowego, przeto utrzymać mogą dość znaczny ciężar. Na okręcie zaś służą pasażerom do spania. Dom Allan et Comp. utrzymujący statki na linji Glasgow Montreal zaprowadził ten aparat na wszystkich swoich okrętach.

— Niejaki Guyot Lupold w Locle, w szwajcarskim kantonie Neuenburg, wynalazł sztuczne czarne djamenty, których przy fabrykacji zegarków używa bardzo dobrze zamiast prawdziwych. Karat takiego djamentu kosztuje tylko 6 franków, gdy tymczasem za karat prawdziwego trzeba zapłacić 27 franków. Sztuczny djament ma wagę prawdziwego, ale gdy mu się przypatrzymy przez silne szkło powiększające dostrzeżemy, że składa się z ziarnek matowych i na pół stopionych, a rozpadając się da'e proszek czarny, podczas gdy proch prawdziwego jest jasny.

— Malling Hausen w Kopenhadze wynalazł przyrząd, za pomocą którego zwyczajne pismo może być równocześnie kopjowane w 200 egzemplarzach.

Szkolnictwo.

— Rektorem uniwersytetu lwowskiego został wybrany Dr. Euzebjusz Czerkawski, a rektorem Akademji technicznej we Kwowie, p. Karol Maszkowski.

Gospodarstwo i komunikacje.

— Dnia 21. zm. skończył się w Warszawie jarmark na wełnę. Razem zwieziono tego artykułu do 70 tysięcy pudów. Pud płacono od 82—92 talarów. Sprzedano zaledwie połowę. Między kupującymi byli prawie sami fabrykanci krajowi.

— Dnia 24. lutego bieżącego r. otwartą została pierwsza kolej żelazna na wyspie Majorce. Ma ona długości około 30 kilometrów i łączy Palmę, stolicę grupy wysp Balearskich, posiadającą 60.000 mieszkańców, z Incą, ogniskiem handlowem Majorki, mającem 6.000 mieszkańców.

Wojskowość.

— Komisja mająca zbadać. jakie działo powinno być w Austrji zaprowadzone, oświadczyła się 27 głosami na 28, za działami jenerała Uchatiusa lanemi z bronzu stalowego. Działo to ma być nierównie lepsze, aniżeli Kruppa.

— Jeden żołnierz pieszy dźwiga na sobie w Austrji ciężar wynoszący funtów 47, w Ameryce 53, we Włoszech 53, w Szwajcarji 59, w Prusiech 61, we Francji i Anglji blisko po 62, a w Rossji 68 funtów.

— Do statystyki karabinów we wszystkich większych państwach europejskich, znaleźliśmy następujące autentyczne daty: Państwo niemieckie ma do 3 miljonów karabinów, Rossja 1.650.000; Francja 1.700.000; Austrja 1.374.000; Włochy 800.000; a Anglja 175.000. Wszystkie te karabiny są już odtylcowe. tylko rozmaitych systemów.

Sport.

— Wyścigi na torze lwowskim, odbyły się d. 27 i 29 czerwca. Pierwszego dnia wszystkie nagrody wzięły konie hr. Jana Tarnowskiego, między któremi znajdował się sławny „Przedświt“. Drugiego dnia wygrywał także hr. Jan Tarnowski, raz jeden Kalikst Ochocki, raz p. W. Czajkowski, a w biegu myśliwskim wziął nagrodę honorową porucznik Herb. Pierwszego dnia, w biegu panów, wziął nagrodę p. Tuczyński. Na tegorocznych wyścigach dał się czuć wielki brak koni.

Sprawy społeczne.

— Prawa kobiet do pełnienia niektórych funkcyj urzędowych utwierdzają się coraz mocniej w Anglji. Ośm pań zostało zamianowanych z wyboru członkami biura dla ubogich w parafji św. Pankracego w Londynie. Wybór ten podano do zatwierdzenia ministrowi spraw wewnętrznych. Minister na podstawie, że nie istnieje żaden zakaz wyłączający kobiety od takich obowiązków, potwierdził wybór.

ROZMAITOŚCI.

— Któż to powiedział, że wiara znika z tego świata? Być może że nie wierzą już w Boga ale w duchy wierzą jeszcze niewątpliwie. Zresztą, czyż podobna byłoby zaprzeczać ich istnieniu, kiedy przychodzą na rozmowę z ludźmi, piszą do nich i pozwalają się fotografować, z jak największem pobłażaniem i cierpliwością. Straciłeś osobę bardzo drogą, którą pragniesz, co rzecz naturalna, ujrzeć znowu. Droga ku temu bardzo łatwa: Udajesz się do „medium“, które się nazywa p. Firman w Paryżu, i przedstawiasz mu o co ci chodzi. On wprowadza cię do ciemnego pokoju. Tam chwyta cię twój przewodnik za ręce, widzisz, że tajemnicze dłonie jakieś poruszają i podnoszą wokoło ciebie różne przedmioty, ktoś cię uderza lekko po głowie, — delikatne jakieś tchnienie cię owiewa. Spirytysta czyni zaklęcia i oto zbliża się duch drogiej ci kobiety, w mglistych zarysach. Jeżeliś dla niej ostygł, duch znika; lecz jeżeli płoniesz jeszcze, duch przybliża się do ciebie cichutko i całuje cię potrzykroć w czoło; napierając bardzo możesz nawet odważniej również trzema pocałunkami. Jeżeli spytasz się wtedy: „O droga przyjaciółko tyż to jesteś?“ — Niewidzialny głos odpowiadający potrzykroć: — „Tak! tak! tak!“ — „Potrzykroć — „Numero deus impare gaudet“ (nieparzysta liczba Bogu się podoba)... Cała ta nadziemska roskosz kosztuje cię tylko 10 fr. To za bezcen! — Tak się dzieje u p. Firman. Za 20 franków, gdzieindziej znowu, w zakładzie fotograficznym p. Buguet, bulwar Montmartre, 5. dostać możesz fotografję zmarłej uwielbianej osoby. Za podobieństwo, ma się rozumieć, nie poręczają. Czasami zamiast sześcioletniego straconego dziecięcia ujrzysz obok swojej

postaci na fotografji postać pięćdziesięcioletniego pułkownika; ogólnie jednak podobny przypadek przytrafia się zaledwie 40 razy na 100. Zwykle jeżeli nie zupełne podobieństwo, to przynajmniej rysy familijne odnajdziesz. Jakże więc zaprzeczać można spirytyzmowi i spirytystom i negować istnienie duszków słuchających, mówiących i piszących,—wobec podobnych faktów?! Nie! na to trzeba być chyba fotografem, adwokatem lub sędzią. Tak jest, adwokaci, fotografowie i sędziowie nie chcieli uwierzyć tym cudom, a szczególniej fotografjom duchów, o których w ostatnich czasach bębniły wszystkie dzienniki europejskie, o których i my wspominaliśmy na tem miejscu, i pociągnęli zacnych spirytystów przed sądy! I cóż się pokazało? Było ich trzech. P. Buguet fotograf, Leymarie dziennikarz, i p. Firman, amerykanin, „medium“. Leymarie wedle aktu oskarżenia, skojarzył się z Buguetem i w dzienniku swoim spirytystycznym „Revue Spirite“ opowiedziawszy najprzód o fotografjach duchów, otrzymanych w Ameryce, podaje adres p. Bugueta, jako tworzącego za pomocą nadnaturalnych sił takież same fotografje. Odtąd, comiesięczny numer „Revue Spirite“ publikuje to jakąś fotografję spirytystyczną Bugueta w towarzystwie zręcznej reklamy, to podziękowanie klijentów itd. Tłumy spieszą odwiedzać pracownię Bugueta. On przyjmował zamówienia na sześć fotografji za 20 franków (format biletowy), nie zaręczając jednak bynajmniej za podobieństwo osoby wywoływanej; — kto zamówił jednak, musiał zapłacić. Zwyczajnie zgłaszających się do pracowni klijentów przyjmowała najpród kasjerka, panna Menessier i wypytywała ich o różnorodne szczegóły odnoszące się do wieku i powierzchowności osoby zmarłej, której fotografję mieć chcieli. Następnie zjawiał się Buguet z miną natchnioną i wprowadziwszy klijenta na terasę, gdzie miał pozować, zalecał mu wejść w komunikację duchową z osobą, której obrazu pragnie. Poczem, biorąc z rąk pomocnika przygotowaną kliszę, umieszczał ją, jak zwyczajnie w maszynie i tę ustawiał, a uczyniwszy to, sam przystępował do ściany opierał się o nią głową, i machając rękami, udawał, że czyni jakąś tajemniczą inwokację. Po skończeniu tej ceremonji, pomocnik zabierał kliszę, poddawał ją zwykłemu processowi chemicznemu i za kilka chwil przynosił. Wtedy Buguet pokazywał ją klijentowi, który po za swoją postacią spostrzegał mniej lub więcej wyraźny zarys osoby, podobny do widma owiniętego w całun, z pod którego tylko głowa cokolwieczek wydatniej występowała. Czasami w czasie posiedzenia duch jakiś niewidzialny przygrywał w kącie sali na grającej tabakierce. Ponieważ jednak wszyscy nie mogli przybyć do Paryża osobiście, przeto p. Buguet zawiadomił wkrótce zamiejscowych klijentów, że dosyć będzie jeżeli mu przyszlą pocztą swój własny portret, a on im zwróci reprodukcję z obrazem żądanej osoby zmarłej. Łatwo pojąć, że cuda takie bez trudu i cierpienia odbyć się nie mogły. To też Buguet żalił się często na silne bole głowy spowodowane natężeniem przy magnetycznych zaklęciach, i udawał się o pomoc do „medium“ leczącego, którem była p. Stourbe, trafikantka. Ta zjawiała się, robiła nad nim kilka pociągnięć magnetycznych i ból znikał bez śladu. Tak żyli spokojnie p. Buguet i p. Firman. Naraz przychodzi sądowi nieszczęśliwa myśl wysłania p. Lombarda, komisarza policji do pracowni p. Bugueta. D. 22 kwietnia 1875, p. Clement, komisarz policji, w towarzystwie pp. Lombarda i inspektora głównego Belin de Ballu udali się do p. Buguet. Najprzód zjawili się u niego p. Lombard i Ballu, zapytując, czy nie mógłby odtworzyć obrazu ojca tego ostatniego. Fotograf odpowiedział potwierdzająco, wprowadził ich do pracowni położonej na terasie i rozpoczął operację połączoną ze zwyczajnemi kuglarstwami. Gdy już umieścił przygotowaną kliszę w maszynie, p. Lombard oznajmił, kim jest i spytał, czy na kliszy nie znajduje się już obraz jaki poprzednio zdjęty. Po krótkiem wahaniu, Buguet przyznał się że jest już na niej obraz zdjęty w innej pracowni przed kilkoma chwilami. Przystąpiono tedy do wyjęcia szkła z ramek i p. Lombard wezwał obecnego specjalistę, ażeby starał się uwydatnić ten obraz. Po odpowiedniej manipulacji chemicznej pojawił się na szkle obraz mężczyzny i kobiety w mglistych zarysach. Buguet wytłumaczył to podwójne zjawisko tem, iż jakkolwiek żądano od niego widma tylko jednej zmarłej osoby, on jednak fabrykował często po dwa na raz, dla sprawienia przyjemności klijentom. Poczem bez trudności opowiedział na czem polegała istota jego czarodziejskich operacyj. Służyła mu do nich lalka, z głową zmienianą wedle woli, z której zdejmował obraz w krótkim czasie, w półcieniu, w innej pracowni, na drugim końcu mieszkania. I w istocie, znaleziono we wskazanym pokoju, na pilastrze z malowanego drzewa lalkę drewnianą, wysoką na 45 centymetrów, której głowa z innego materjału, a mianowicie z tektury, wolno przytwierdzona, przedstawiała twarz starca; korpus tej lalki okryty był gazą błękitną i kawałkiem materji czarnej, udrapowanych tak aby zasłaniały kontury. W niejakiej odległości od nich znajdowała się maszyna fotograficzna ustawiona do działania. Na wezwanie komisarza Buguet utworzył obraz z wystawionej głowy. Dalsza rewizja odkryła w małym gabineciku przylegającym do pracowni, pudło z białego drzewa zawierające w sobie 240 głów płci obojej, różnego wieku, wyciętych i przylepionych na tekturze, rozumie się, po zastosowaniu ich do kształtów i rozmiaru osób naturalnych.. W innem pudełku znaleziono pięćdziesiąt jeszcze podobnych. Głowy te służyły do urozmaicenia powierzchowności zjawisk. Oprócz tego znaleziono inną jeszcze lalkę w zasłonie zielonej, służącą specjalnie do widm dziecięcych, oraz maskę tekturową przedstawiającą trupią głowę, peruki fałszywe, brody, lirę i gitarę. Tąż samą niefortunną powodowana ciekawością policja zeszła również do p. Firman i odkryła, że dowcip jego był niemniejszym od dowcipu p. Bugueta, a istotą, która obdarzała trzema pocałunkami była pani Firman. 19 czerwca oskarżeni stawali na rozprawie ostatecznej przed sądem. Wezwanych świadków przybyło wielu. Wszyscy mają miny skupione i poważne. Pokazuje im przewodniczący lalkę, głowy do fabrykowania klisz, itd. itd.. Nie chcą niczemu wierzyć. Duchy mówią, piszą i dają się fotografować, oto ich niezwalczona wiara! Ubolewają nad fotografjami, adwokatami i sędziami, i wierzą. P. Jacques Dessenon, kupiec obrazów, ma 54 twierdzi, że obraz żony jego na fotografji Bugueta tak był podobny, iż siostra jej na łożu śmierci ją poznała a dzieci krzyknęły: „Ach! to mama!“ Oprócz tego, zadziwiająca jest rzeczą, że na tej fotografji również pojawiła się głowa trupia na jego kolanach. Przewodniczący interpeluje Bugueta; ten odpowiada z uśmiechem, że jeżeli było jakie podobieństwo, to tylko rzecz przypadku, co zaś do trupiej głowy, było to złudzenie wywołane zagięciem zasłony. Świadek uśmiecha się doń porozumiewająco i tajemniczo i powtarza cicho: „A jednak to było widmo mojej żony“. Pani Stourbe trafikantka, „medium leczące“ twierdzi, że zajmuje się leczeniem magnetycznem i że ratowała Bugueta, kiedy przy pracach swoich bladł i mdlał, fluidy nieczyste zeń wypędzając. Buguet na zapytanie przewodniczącego odpowiada, że był zdrów zupełnie i że udawał tylko iż mu się po pociągnięciach p. Stourbe polepsza, dla sprawienia jej przyjemności. Pani Stourbe nie daje sobie tego wybić z głowy i wciąż powtarza, że musiał być chory i że uwalniała go od fluidów nieczystych. Wreszcie przewodniczący w zniecierpliwieniu napomina ją aby w przyszłości zajmowała się już tylko przedażą tabaki. Sąd po wyjściu na ustęp skazuje Bugueta i Leymarie dziennikarza wspólnika jego na rok więzienia i 150 fr. grzywny, a Firmana na sześć miesięcy i 300 fr. grzywny. Otóż nowi święci w Martyrologji i kalendarzu spirytystów!

— Dla uzupełnienia obrazu przygód myśliwskich p. Anquetila, podajemy opis jego dawniejszych łowów na tygrysy: Dramat odegrał się w Birmanji, o sześć mil drogi od Ngnyoungco, w lesie, którego środek zajmowało jezioro. Tomasz Anquetil uzbrojony w lekką strzelbę, rewolwer, i puginał, przechodził las w towarzystwie dwóch Europejczyków, kilku Indjan, oraz kilku niewolników. Francuz oddaliwszy się od towarzyszy szedł wzdłuż jeziora z Indjaninem strzelając do ptaków; ubiwszy kilka wskazał temu człowiekowi miejsce gdzie padły. Indjanin pobiegł je zebrać, kiedy nagle, o sto kroków może ujrzał ogromnego tygrysa. Zwierz wyskoczył z trzciny bambusowej łamiąc ją jak słomkę. Indjanin strzela i chybia; rozjuszony tygrys rzuca się na niego; Anquetil słyszy drugi strzał, potem krzyk bolesny, przeciągły. Biegnie w to miejsce i spostrzega Indjanina rozciągniętego na ziemi, i szarpanego przez rozsrożone zwierzę. Odważny Francuz odrzuca strzelbę, chwyta w prawą rękę rewolwer, w lewą puginał i występuje do walki. Niestety! strzelać niepodobna— zwierz i człowiek powalony przedstawiają jedno ciało. Wreszcie tygrys nasyciwszy zemstę, z płomienistem okiem i roztwartą paszczą, bijąc o swe boki ogonem, zwraca się do nowego napastnika. Sześć strzałów pada z rewolweru, każdy pewny. Tygrys wije się w konwulsyjnych drganiach śmiertelnych. Na huk strzałów dopiero przybywa na pole walki reszta towarzystwa. Poległy tygrys królewski był samicą ośmioletnią; ciało Indjanina przedstawiało jakąś masę bezkształtną — prawa ręka trupa zaciskała jeszcze broń nieużyteczną. Pierwsza kula Indjanina ześliznęła się po żebrach zwierza, druga trafiła w łopatkę — jeden cal niżej, nieszczęśliwy byłby ocalony, strzaskałby bowiem staw; widocznie strzelał strwożony, za prędko. Dwie kule Anquetila zgruchotały paszczę, cztery następne uderzyły w piersi, z tych jedna w samem sercu utkwiła. Niewolnik Laos zbliżył się do tygrysicy, nacisnął jej piersi, i spostrzegł wypływający z nich płyn mleczny, blado żółty; to było dlań ważną wskazówką. Nie mówiąc nikomu słowa, chwycił nóż i zaczął przepatrywać krzaki. Anquetil szedł za nim w pewnej odległości. Na jednem miejscu, gdzie trawa więcej była zdeptaną, Laos zatrzymał się, i o trzydzieści kroków dalej, w pośród lotusów i sitowia wykrył dwoje młodych tygrysiąt, może cztery tygodnie mających. Odchyliwszy krzaki Laos wpatrywał się przez chwilę w te drapieżne istoty, które wytrzeszczały oczy, wyszczerzały zęby, i wysuwały pazury, przeczuwając nieprzyjaciela. Widocznie oczekiwały matki. Laos powiązał linami ich łapy, zawinął młode w kaftan, a zerwawszy gałąź przewiesił na niej to zawiniątko, które na plecy sobie zarzucił, idąc jak rzemieślnik z tłumoczkiem podróżnym. Myśliwi tymczasem powracali do lasu. Anquetil z przyjacielem swym baronem L. szli na czele. Nagle pogromca tygrysicy czuje się schwytanym za pas z tyłu, i jednocześnie słyszy szept Laosa: —„Baczność wodzu!“ — „Czego chcesz?“— zapytuje Anquetil. — „Na Boga, ani kroku dalej!“ — „Cóż takiego?“ — „Patrz! tygrys!“ — rzekł Laos z cicha wskazując palcem w zarośla. — Francuz wziął strzelbę do ręki. O trzydzieści kroków przed nim wiła się przez wzgórze ścieżka; z obu stron krzewiły się rośliny ślazowate i szerokie mangostany. W nich to ukrył się tygrys, tylko głowę jego można było dostrzedz. — Skurczony całem ciałem, czekał widocznie na zbliżający się orszak, ale widząc się odkrytym spiął się na tylne łapy w pogotowiu do skoku. — „Raz — dwa — trzy — ognia!“— zawołał głosem donośnym Anquetil. — Strzały padły — pyszny tygrys królewski broczył we krwi; legł, nie wydawszy nawet jęku. Czy był zabitym, czy tylko zranionym? oto pytanie, jakie zadawali sobie indjanie nabijając broń, i z wszelką ostrożnością przystępując do zwierza. Zdarza się bowiem często, że zraniony lew lub tygrys udaje nieżywego, i dopiero widząc blisko siebie człowieka, zadaje mu niespodzianie cios prawie zawsze śmiertelny. — Jedno uderzenie łapy brzuch może rozpłatać, jedno ukąszenie zadać ranę głęboką. Anquetil zbliżył się pierwszy z rewolwerem w ręku, ale zatrzymał go Laos mówiąc, że szkoda tak przepysznej skóry. Laos złożył tygrysięta na ziemi, ujął oburącz długi nóż, stanął naprost tygrysa, i jednem silnem cięciem rozpłatał mu czaszkę na dwie równe połowy, poczem zawiniątko podsunął pod zwłoki zwierza. Tygrysięta wiły się jak opętane; w ciągu godziny zabito im matkę i ojca. Biedny Laos skończył nieszczęśliwie. Anquetil podarował mu sztucer angielski, który mu jednak nie ocalił życia. Jednego dnia napadł nań z nienacka tygrys, broń nie wypaliła, Indjanin został rozszarpany i podarty.

Treść Nr. 27.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).